



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Nie płaczcie, żywi...

Nie płaczcie, żywi, nad umarłych światem,
Nad światem duchów, którzy tu, na ziemi
Byli wam bliscy drogi życiowemi,
Zanim przed śmierci wielkim majestatem
Stanęli tam już, z kąd ich głos aniola
Na sąd Ostatni jedynie powoła,
Aby każdemu w miarę zasług jego
Udzielić część życia wieczystego; —
Lecz gdy wam serce krwawi się żalobą,
Więźniowie ziemi, wy płaczcie nad sobą. —

Płaczcie nad sobą. Przed tym, kto umiera
W czystości serca i ciała duszy
Dla doczesności bólów, łez, katuszy,
Wiecznego życia niebo się otwiera,
I tej harmonii wstają boskie moce,
W których niepróżno dusza się szamoce,

Gdy dążąc w bezmiar siłami wszystkimi
Zrzuciła więzy cielesne tej ziemi,
Więc gdy wam serce krwawi się żalobą,
Tułacze ziemscy, wy płaczcie nad sobą.

Płaczcie nad sobą. Ci co tam stanęli,
Kędy wieczności królują anieli,
Już się łez waszych nie upoją rosą;
Oni za wami swe modły już niosą
Przed tron Wielkiego światów Stworzyciela,
Który swą łaską ojcowską obdziela
Wszelkiego z pośród tej ziemi tułaczy,
Co życiem swoim prawdy ścieżki znaczy. —
Więc drżąc przed śmierci straszny, majestatem
Nie płaczcie, żywi, nad umarłych światem!

Helia.

Piotr Ghmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

XI.

Michał Grabowski.

Za poezją „narodową“ przemawiał gorąco od początku swego zawodu młodszy laty kolega Goszczyńskiego z Humania, *Michał Grabowski* (1805†1863), ale pojmował ją szerszej od niego. I on wprawdzie, podobnie jak Brodziński, spodziewał się bardzo wiele po pieśniach ludów słowiańskich, po obrazach życia rolniczego „gościnnych Słowian,“ ale nie poprzestawał na tych źródłach orzeźwienia twórczości naszej, lecz widział je również zarówno w naszych dziejach jak i w losach społecznego nam pokolenia. Od samego początku był nieprzyjacielem naśladowania wzorów obcych i samej nazwy „romantyczność.“ Mając lat 20 napisał z powodu nieszczęśliwych ballad Witwickiego rozprawkę o „szkole romantycznej w Polsce“ i pomieścił ją w czasopiśmie „Astrea,“ (1825, kwiecień) wydanem, jak wiadomo, przez Franciszka Grzymałę. Przyznał tu Brodzińskiemu zasługę, że „pierwszy zrobił w naszej literaturze krok stanowczy, krok olbrzymi, bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do uczucia, od sztuki do natury.“ Mickiewicz, zdaniem Grabowskiego,

„uczeń szkoły niemieckiej, przyswoił nam jej piękności i błędy; śmiały w pomysłach, szczęśliwy w wysłowieniu, okupił *brak smaku* wzniosłym i sępnym geniuszem.“ Ganił nadużycia świata fantastycznego przez lichych naśladowców Mickiewicza, jakkolwiek potrzebę tego pierwiastku pojmował. „Jest—powiadał pewna strona tajemnicza natury, są niepojęte skrytości serca; bywamy nieraz w stanie umysłu, kiedy zagadka istnienia silnie działa na nas, kiedy zatrzwożeni czczością natury, która nam się w żalobnej niezmierności odkrywa, chcemy ją zaludnić widmami własnego serca i czujemy się w usposobieniu, że nadprzyrodzone zjawisko zaledwieby nas zadziwić zdołało. Poezja może korzystać z tych słabości duszy, może niekiedy użyć własnej imaginacji naszej do osiągnięcia swego zamiaru; lecz wystawiać nam świat niewidomy w *gminnych lub płaskich obrazach* jest to psuć w samym źródle zaród wszelkiego złudzenia, wszelkiej cudowności, wszelkiej poezji. Opisy nawet szczegółowe w tym razie są zbyteczne... raz wzruszoną wyobraźnię trzeba zostawić własnej działalności; jeden tu bowiem tylko wyraz niewłaściwy lub niezręczny zepsuje wszystko i obudzi śmieszność zamiast przerażenia. Przy najlepszym nawet jednak prowadzeniu, nie można być dość oszczędnym w użyciu nadprzyrodzonych środków, gdyż wtedy tylko cudowność odpowie przeznaczeniu swemu, kiedy wszystko, co jej wprowadzenie poprzedza, przygotowuje już nas do przyjęcia wrażenia, które ma sprawić.“ Wspominając zaś w ówczesnych sporach klasyków z romantykami, twierdził, „iż czas już byłby przestać do słów się przywiązywać, iż czas byłby poznać, że klasycyzm i romantycyzm są *brzmienia próżne, same przez się nic nieznaczące*.“

W trzy lata potem, drukując swe „Myśli o literaturze polskiej“ w „Dzienniku Warszawskim“ (1828, maj) z naciskiem powtórzył to zdanie, okazując, że jedyną epoką klasyczną literatury był wiek poezji greckiej, a romantyczną—wieki średnie, że więc teraz nazwy klasycyzmu i romantycyzmu „używane są mylnie,“ a z tak mylnego zastowania „mylniejsze wynikają skutki.“ A mianowicie fałszywym jest mniemanie, jakoby u nas nowa poezja brała początek „w obudzonych wspomnieniach i cofnięciu się ku przeszłości, wiekom rycerskim i feudalizmowi.“ U Niemców było to możliwem i uzasadnionem, bo rycerstwo i feudalizm u nich kwitły; ale i oni w takich granicach nie zawarli swych pomysłów. „Nam więc dzisiaj szukać romantycyzmu w naśladowaniu miejscowych uczuć niemieckiej literatury, w poniewolnym nakręcaniu do naszych obyczajów—obcych nam zwyczajów feudalnych, w tem nawodnieniu *ballad* jest naprzód rzeczą niewczesną, potem błędem. Mickiewicz to uczuł i porzucił swoje ballady, jakkolwiek ich powodzenie mogło go z prawdziwej zbieć drogi...“ Naszym poetom nie cofać się do nieoświeconych dawnych wieków, im raczej trzeba wszystkie usiłowania łożyć, żeby się wznieść i utrzymać na wysokim stanowisku dzisiejszem. Te czasy i kształty tylko do nich należą, jak i cała puścizna przeszłości jest własnością myśli każdego oświeconego człowieka... Poezja, jakiej potrzebujemy, poezja, którą romantyczną nazywamy, jest *wynikłością kultury Europy w dzisiejszym stanie*, bez względu, co dało pierwszy popęd zdeklarowania się nowej reformy literatury. *Childe-Harold* Byrona, *liryczne poezje* Schillera, *Dziady* Mickiewicza nie mają w sobie nic gotyckiego, a jednak są arcydziełami nowej poezji...“

W tej rozprawie (nieukończonych zresztą) wypowiedział też Grabowski ogólny swój pogląd na poezję, na jej rozwój i na znaczenie krytyki literackiej. Poeta nie naśladuje „materyjalnej natury,“ tylko wyraża swe „intelektualne pojęcia“ za pomocą jej zmysłowych symboli; wzory jego „kreacy“ są tylko w jego duszy; lecz ponieważ jest przywiązany do ziemi częścią fizyczną swojej istności, musi na niej szukać „znajomych kształtów, którymby odziane jego myśli mogły innym komunikować wrażenia według jego intencji. Ze względu na swe źródło: swobodne natchnienie, poezja nie może mieć form

stałych i niezmiennych. Lubo ideał natchnienia „zostaje zawsze jeden i ten sam,“ to jednak, ponieważ i „głównym środkiem sił jego praktycznych“ jest „myśl ciągle się kształcąca, zapatrywanie się na naturę tak różne z różnych punktów towarzyskiego ukształcenia, formy poufałe poecie, któremi swoje kreacje odziewa,“ poezja „musi być wolną i nieuległą żadnym jednostronnym prawidłom w wybieraniu sposobów, któremi mówi do imaginacji i uczucia, ona musi postępować razem ze stopniem oświecenia, kształceniem się charakterów, całym bytem ludów, w których powstaje; przebywa wszystkie epoki towarzyskiej cywilizacji, przybiera wszystkie barwy miejscowości, i zostając zawsze jedna w swoim początku,—w wydaniu swego ideału może ulegać tylu odmianom, ile jest modyfikacji myśli, tyle przybierać kształtów, ile może być form poufałych poecie.“ Z tego punktu widzenia formy, w które się wciela ideał, były dla Grabowskiego obojętne: „Goethe, prawdziwy Proteusz poezji, tą różnaitością kształtów, pod którymi objawia swój nieporównany geniusz, dobrze tłumaczy swoją pogardę i małą wagę, którą potrzeba przywiązywać do zewnętrznych form sztuki.“ Szkoda tylko, że Grabowski powołując się na Goethego nie dodał, że jakkolwiek formę obierze poeta, starać się powinien, ażeby była doskonałą, ażeby najlepiej odpowiadała treści, ażeby stanowiła piękną szatę dla myśli czy uczucia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Radzi nie radzi musimy opóścić werendę a do kominka się przenieść, i przy jego ognisku rozbudzić fantazję, trochę się w marzenia zabawić, bo nie tak do nich nie usposabia jak ten ogień cicho na kominku płonący, jak te iskry złote wyskakujące nagle z opadających węgli, jak żuźle przepalone, oblane aureolą płomyków błękitnych a potem ciche rozsypanie się popiołów, ten koniec wszystkich marzeń najpiękniejszych, wybuchów najgorętszych, tęsknot i pragnień. Od pierwszego błysku płomyka, który suche obejmuje drewno, aż do tych rozpadających się popiołów siedzisz nieruchomy, owładnięty jakimś uczuciem dziwnem. Nie tak wspomnień nie rozbudza, nie tak smutków naszych duszy nie oplata, jak ten płomień, ten ogień, te iskry i te popioły. Ostatnia zgasła—i westchnienie z piersi się wydarło. I mimo woli pochylili się i rozgrzebywać zaczęli popioły, doszukując się w nich choć jednej iskiereki. Tak się szukają wspomnienia w wielkich popiołach życia.

Smutny jestem, a gdzie szukać przyczyny tego smutku, czy w dniu zadusznym, który najwięcej może smutnych wspomnień rozbudza; w tym dniu, w którym roją się ementarze, budzi się pamięć o grobach, kwiaty i zieleń wieńczę mogiły i krzyże?..

Nie—żał mi więcej żywych niż umarłych.

Smutek mój jest trochę innej natury.

Patrząc na około siebie, szeroki nawet okrąg zakreślając tam polu widzenia—dostrzegam się dużo faktów, które zaniepokoić mogą każdego, kochającego społeczeństwo swoje człowieka. Do pierwszych należy, nie brak „wyrobienia“ opinii u nas, jak chcą niektórzy, lecz jej „upadek“ powolny, który z dniem każdym coraz szybciej w bagnisko się jakieś usuwa. Były chwile, w których ta opinia publiczna—miała twardość muru, o który rozbijały się wszelkie prądy nieliczące z etyką społeczną. Znamy do dnia dzisiejszego żyjących ludzi, którzy,

przed laty, zblądziwszy ciężko, dziś jeszcze nie mogą z siebie zrzucić tego brzemienia winy. Bo są chwile, w których grzech przebaczone może być łatwo, ale są i takie, w których grzeszyć nie wolno, a pobrażliwym być nie można. Obecnie jednak, czy z powodu braku odwagi cywilnej, czy braku wytrwałości i koniecznego hartu duszy,—czy—z powodu ogólnego zepsucia, nad którym zastanowić się nie chcemy—na pewne przestępstwa obojętnem patrzymy okiem albo lekceważąco dłonią ruszamy. Gdybyśmy jednak *jedną miarę* tego lekceważenia przywiązywali do *win jednakowych*. Ale nie! tu wpływają na łagodność lub ostrość naszych sądów nie—dajmy na to: pewne zasługi danego osobnika, lecz—stosunek pewne, dające możność—powiedzmy otwarcie, przepędzenia kilku chwil wesołych przy dobrze zastawionym stole!

Oto: było sobie dwóch panów, pan Igręk i pan Iks. Obaj ci panowie przewinili, dajmy na to: zaciągnęli dług honorowy w summie 1000 rb., o którego wypłacie następnie wiedzieć nie chcieli.

Przestępstwo jest jednakowe, tymczasem p. Igrękowi postanowiono ręki nie podawać, a o panu Iksie powiedziano... między sobą, że lądaco, i—jakkolwiek nie witają się z nim chętnie, witają się przeto.

Dla czego?

Bo pan Igręk prowadzi życie zamknięte z powodu nie możności przyjmowania u siebie gości, pan Iks zaś daje indyki nadziewane truflami. I oto w czem leży niemoralność, tak nazwanej opinii publicznej.

Widocznie zło rozpowszechniło się u nas nad miarę, gdy w dość stanowczy sposób poruszyły tę sprawę: „Niwa Polska“ i „Kurjer Codzienny“. — *Niwa Polska*, powiada „*Kurjer*—choć przedstawiła pewne objawy braku opinii zbyt może jaskrawo, nie mniej jednak słusznie powstała przeciwko tym, którzy wypowiadając przed znajomymi najgorsze opinie o człowieku, spieszą pierwsi uściśnić dłoń jego, gdy się zjawi wśród nich.“

Wypadki podobne pojawiają się u nas zbyt często, niestety! prowadząc za sobą jak najstraszniejsze skutki. Podobna tolerancja, uzuchwała ludzi, którzy po dokonaniu jednej nieuczciwości, widząc, że im przebaczone, stają się coraz śmielsi w postępach swoich i dochodzą wprost do czynów bezczelnych. Do nabycia cnot potrzebna praca, zbrodnie same przychodzą. Pobrażliwość opinii dopomaga do rozwoju tych ostatnich i czyni okrutną krzywdę ludziom zaparcia się i poświęcenia. Zbrukane i „czyste ręce są jednakowo witane. Zapewne, że mimo to, uczciwość z drogi swojej nie zboczy; ale jak zbyt pobrażliwość, złe charaktery znieprawia coraz bardziej, tak nierobienie różnicy między brudem a czystością, dobre lecz słabe, może powstrzymać w rozwoju, albo zniechęcić do dalszej pracy nad tem, co nawet wyróżnić ich nie może od wynaturzonych.

„I oto—mówi dalej Kurjer Codzienny,—słyszmy np. jak szerzy się opowieść o takim postępku człowieka, który go wprost wykluczyć powinien z grona wszystkich uczciwych ludzi na zawsze. Zdawałoby się że ujawnienie faktu będzie dostateczne, aby o istnieniu takiego człowieka nawet zapomniano a on sam w poczuciu winy i wstydu, żeby ukrył się przed obliczem świata. A tym czasem, jak powiada „Niwa“ nie tylko najspokojniej grasuje wśród nas, lecz sam niejako gotów jest nadawać sąd opinii publicznej.“

Oprócz tej sprawy wagi pierwszorzędnej staje druga.

Równocześnie prawie z tą pobrażliwością, czy może lepiej: z niechlujstwem naszej opinii—podnosi głowę inny potwór, walczący aninowemimi listami.

Tego rodzaju zabawa jest równie dowodem znieprawienia pewnej części społeczeństwa. Przybywa nam, nieznaną dotąd cechą: tchórzostwa. Bo czem że są te bezimienne paszkwile,

rzucanie podejrzeń na osoby mi najmilsze, to wywieranie może cichej zemsty za słowo pogardy jawnie wypowiedzianej. — jeżeli nie brakiem odwagi cywilnej, obawy stanięcia oko w oko. A — nadź zagnieździło się u nas to miotanie strzałami zatrutemi z za płotu, gdy, pełen miłości zawsze i przebaczenia Prus, w jednej z ostatnich kronik swoich z bólem i pogardą mówi o tem z nieprawieniu pewnego odłamu społeczeństwa naszego. Częstość anonim jest przejrzysty, częstość go zdradzi nieumiejętnie zmienione pismo, często zatrzymany posłaniec miejski z listem takim da dobry rysopis hultaja — mimo to wszystko jak udowodnić słuszność mojego podejrzenia? na jakiej, wymagalnej przez prawo podstawie, pociągnę go przed kratki sądowe? W podobnych wypadkach świadków nie sposób znaleźć, moje zaś przekonanie sądu nie przekona, a winowajca najbezczelniej winy się wyprze. Może tu tylko nastąpić fakt doraźnego zadośćuczynienia. Ale w takim razie ja winowajcą się staję napadu czy naruszenia spokojności publicznej. I w tej więc sprawie rozstrzygnąć tylko może opinia publiczna, umiejąca odróżnić ziarno od plewy, ale ta opinia zajmująca krzesło sędziowskie, nie powinna podlegać żadnemu zarzutowi przedajności, słabości, schlebiana dobrze urodzonym lub dobrze uposażonym. Ale tak nie jest, — i dla tego ludzie, którzy „w poczuciu winy i wstydu“ powinni się ukryć przed obliczem świata, drwią sobie ze świata, a niecne paszkwile i ohydne plotki kursują wśród nas spokojnie.

I oto pierwszy powód smutku — a drugi?

Innej jest całkiem natury, choć łączy się z poczuciem ogółu naszego społeczeństwa do obowiązków pewnych, których zaniedbywać nie wolno a o których wciąż pamiętać trzeba.

Znana jest ofiarność naszego ogółu. Bywały chwile kiedy ta ofiarność wprost w zdumienie wprowadzała doraźnością swoją. Ale właśnie ta doraźność jest złem, podczas gdy ciągłości potrzeba. Jest ona wprawdzie dowodem zapalności charakteru naszego, gwałtownym rzutem naprzód instynktów dobrych, lecz po tym skoku następuje osłabienie pewne, znużenie i wyczerpanie się chorobliwie. W społeczeństwie zdrowym zupełnie, taki wysiłek na osłabienie organizmu nie wpływa: będzie on tylko w danej chwili wzmoczeniem się tej ciągłości ofiar, które, pojęte jako obowiązek, staną się rzeczą codzienną, zwyczajną. Przyzwyczajenie, mówią, jest drugą naturą, gdy się *naturą* stanie, ciężać nam nie będzie.

Była chwila, gdyśmy się wysilili i w ciągu dwóch miesięcy nie spełna, złożyliśmy 200,000 przeszło rb. na pomnik dla Mickiewicza. To drgnienie ogółu narodu było jego żywotności dowodem, o której już nawet wielu wątpiło. Ale żywotność ta nie powinna się przejawiać w danym tylko wypadku; — jeżeli ma być nią, codzienną być musi. Te rzuty chwilowe mogą mówić o *życiu*, lecz nie być jeszcze *żywotności* dowodem.

W tej chwili staje przed nami sprawa wielkiej wagi. Nią jest: przyszłość uczącej się młodzieży szkolnej.

Nauka najpierwsza otrząsa się z arystokratycznego pokostu. Dawniej była nieodstępna towarzyszką klas uprzywilejowanych tylko, później się stała ich ozdobą zewnętrzną, a teraz jest koniecznością mass. Mury gimnazjalne i uniwersyteckie, nie są dziś wypełnione paniczami z rodzin zamożnych, przeciwnie: tych procent jest bardzo mały jeżeli żadnym nie jest, — do nauki garną się najuboższe warstwy społeczeństwa.

Tego zdemokratyzowania nauki za złe nie mamy, przeciwnie: im więcej wiedzy, tem społeczeństwo staje się świadomsze celów swoich, tem opiera się na silniejszych bytu podstawach. Społeczeństwo więc dbać powinno o te zwarte szeregi uczącej się młodzieży swojej, z tego łona wyszłej i do niego należącej. Wszelka ofiara poniesiona w tym celu, jest tylko dobrem ofiarodawców — a gdy jest tak, przestaje być ofiarą, lecz zwykłym obowiązkiem sumienia, jaki zachodzi w stosunku ojca do syna. W szerszym jednak pojęciu wzięte to ojcostwo, złe się wy-

wiązuje z opieki nad dziećmi swojemi, co tylko jest ze szkodą głównego opiekuna. Oto parę smutnych faktów z chwili bieżącej...

Co roku, przy rozpoczęciu nauk w zakładach naukowych wylania się na porządek dzienny sprawa młodzieży szkolnej. Z powodu ubóstwa, pewien a bardzo znaczny odłam tej młodzieży jest zagrożony wydalaniem ze szkół.

Składki jakie w tym celu wpływają do redakcyi pism różnych nie zaspokajają tej potrzeby. Codziennie słyszymy i czytamy proźby o tę pomoc rodziców lub opiekunów biednej młodzieży. Mimo ofiarności jednak niektórych jednostek — zawsze na początku roku szkolnego jątrzy się ta niezablizniona rana. Dość zaznaczyć, że w r. bieżącym faktycznie z d. 13 Października wydano przeszło stu siedemdziesięciu uczniom i uczenic z powodu niezapłacenia wpisowego. Mimo jednak tych faktów bolesnych społeczeństwo nasze zachowuje się obojętnie. Przejrzyjmy rubrykę ofiar na wpisy w dziennikach a przekonamy się o tem.

Są pewne właściwości rozmaitych natur, których żadne rozumowanie, czy strofowanie zmieni nie mogą. Tą właściwością społeczeństwa naszego jest zapalność, w danej chwili najpiękniejszym ogniem wybuchająca, mierzenie siły na zamiary, nieraz salto mortale na łeb i szyję, ale tam gdzie potrzeba iść krok za krokiem, gdzie równomiernym tchem swych piersi potrzeba wciąż płomić podyscać by nie zgasło lecz wiecznie paliło się — tam brak nam woli czy mocy. Doraźność lecz nie ciągłość prac leży w usposobieniu naszym. Zło to można i potrzeba wykorzystać, lecz potrzeba nam znów zdobyć się na pracę i wytrwałość, o które tak nam jest trudno. Zanim więc zdobędziem się na to, lata miną — pozostaje nam tylko rzut doraźny. Niech więc i tak będzie.

Oto rok rocznie stajemy przed kwestyą pomocy naukowej dla uczącej się młodzieży. Wiemy już, że na ciągłość ofiary — (która właściwie jest tylko obowiązkiem) zdobyć się nie możemy. Rozwiążmy więc tę sprawę czynem doraźnym. Czy zebrawszy 200,000 rb. na pomnik dla Mickiewicza nie moglibyśmy drugie tyle na drugi pomnik zebrać, na pomnik, świecący napisem: „Fundusz stały na wpisy dla uczącej się młodzieży.“ Odsetki od tego kapitału na długie wystarczyłyby lata, a jaki ciężar spadłby z piersi naszej, wiele ustek dziecięcych uśmiechnęłoby się ku nam, w wielu sercach złotemi głoskami zapisane by zostało uczucie wdzięczności. Ofiara ta ogółu nie byłaby zresztą ofiarą dla dzieci obcych: Los w biegu swoim rozmaite ścieżyny obiera: dziś ku nam się wdzięczy a jutro twarz swoją odwróci od nas. Dzisiaj grosz przez nas dany dla obcych (jeżeli obcymi nazwać można dzieci jednej matki ziemi) jutro do nas powrócić może. Zapamiętajmy to sobie i w sposób doraźny, ofiarnością zbiorową rozwiążmy palącą kwestyę — młodzieży. Kto ma możliwość, wolę dobrą i — czas, niech inicjatywę tę do rąk swych weźmie a wielka rana zabliźniona zostanie i dokonany czyn wielki.

I oto drugi powód smutku mojego, bo byłem sam świadkiem, jak z powodu braku pieniędzy kilku chłopaków z klas niższych opuściło ściany szkoły ze łzami w oczach, z rozpaczą w sercu. Dopóki nie zdobędziem się na stały fundusz pomocy, znaczna część ofiar naszych marnie nawet straconą zostanie.

Oto znałem chłopaka pewnego A. K. za którego połowę wpisowego w sumie rb. 35 (rocznie) pewno redakcyja płaciła — drugą połowę płaciła matka, utrzymująca się z prania i szycia. W połowie Października rs. 17—50 kop., jak to rok rocznie bywało wpłynęło z danej redakcyi — ale drugiej połowy matka A. K. zapłacić nie mogła. W kassie dziennika pieniędzy już nie było — termin przez władzę szkolną, dany do zapłacenia minął — chłopak uwolniony został. I oto, kilkoletni zasilek dawany przez redakcyę na marne poszedł; — a przyszłość dziecka? Doznany zawód przygnębiająco oddziaływał — gorycz młodzieńcze usta zalała, żal uczuł — do świata. A faktów takich moc wielka.

Mieszkańców Warszawy, szczególnie tych,

którzy dbają o zdrowotność miasta i estetyczny wygląd jego, zaniepokoiła wieść, podana przez niektóre dzienniki, że Ogród pomologiczny, ostatni z ogrodów w obrębie miasta (bo oczywiście Saski i Krasińskich zniszczone być nie mogą) ubiegnie parcelacyi — pod domy. Zawiązała się jakoby spółka pewna, mająca chęć nabycia tego ogrodu za sumę 300,000 rb. „tymczasem rzeczoznawcy zapewniają, że wart on najwyżej 60,000 rubli, licząc po 10,000 rb. za włókę, ponieważ w punkcie tym nie wolno wznosić żadnych stałych budynków. Spółka tedy, pragnąc ażeby transakcyja doszła do skutku, ofiarowała 300,000 na koszty wzniesienia parkanów i budynków, oraz uskutecznienie pewnych robót ziemnych i drugie 300,000 rb. na koszty przenosin ogrodu — razem więc gotowizną 600,000. Sprawa sprzedaży ogrodu przedstawioną już została do ministeryum oświaty, pod którego zarządem pozostaje Ogród pomologiczny.“

Jeżeli wieść się ta sprawdzi, jeżeli wyż wspomniana transakcyja dokonana zostanie, mury tylko i mury zobaczymy w Warszawie i to mury o kształtach nieestetycznych, wcale, nie okupione nawet daną przestrzenią rynków i placów, na których można by było choć mały skwer założyć, upiększyć zielenią, ozdobić wodotryskiem czy posągami.

Spekulacyja nie dba o piękno. Pod sznur długie, jednostajne wyciągają się kamienice o czterech i pięciu piętach nawet, dziedzińce wąskie i ciemne stają się zbiornikami stęchłego powietrza, ponad któremi zaledwie mały szmat nieba widoczny bywa. Nowobudujące się domy rzeczywiście mają wygody nowożytnie, bo i kanalizacyę i wodociągi i łazienkę nie rzadko i wentelatory w ścianach i — jak mnie zapewniał mój nowy gospodarz, maszynkę do rąbania drew. Na tę maszynkę, jako nowość, szczególnie kładł nacisk, z powodu tej maszynki o 25 rb. nawet mieszkanie podwyższyl.

W d. 13 Listopada wedle przepowiedni Falba ma nastąpić zetknięcie się jakiegoś komety z ziemią, czego następstwem oczywiście będzie koniec świata. Gdybyż nam choć tę resztę dni istnienia naszego na tej ziemi czemkolwiek bądź ozłoco. Ale gdzie tam! chęć nas do rozpaczy doprowadzić, w tym chyba celu, ażebyśmy pożydliwi tego końca świata byli.

Przyczyną też rozpaczy, a doprawdy nie błaż — jest — kwestyja węglowa.

Przed paru miesiącami jeszcze płaciliśmy za korzec 90 kop., ale w ostatnich dniach tygodnia ceny tak zaczęły rosnąć w górę, że już dziś płacimy 1. 65 za korzec, a maluczko — (robią nam tę słodką nadzieję) że i 3 rb. za wiele nie będzie. A to, jakby i jesień, bo nasza śliczna, złota jesień ręka w rękę ze spekulantami poszła: dmuchnie wiatrem, mrozem pogrozi, że mimowoli człowiek na piec spojrzy, ręce zatrze i już ma się odezwać do sługi:

— Zapal-no w piecu!

Ale przypomniawszy sobie, jak cennym materiałem jest węgiel obecnie, westchnie tylko — i na rozgrzywkę w pięść parę razy chuchnie.

Magistrat, jak wiemy, zajął się ubogą klasą ludności; własne składy pootwieriał na krańcach miasta, a zapobiegając ażeby z nich nie korzystałi ludzie zamożni, dozwolił najwyżej po pudzie węgla kupować. Rozporządzenie to oczywiście jest słusznem, ale także jest dowodem dobrego mniemania o zamożności mieszkańców śródmieścia. Mówią, że składnicy miejscy niezadowoleni z tego wdania się magistratu w ich sprawy, który niepozwoilił łupić ludność ubogą, chcą rzekome straty swoje na przedmieściach, w śródmieściu odwetować.

Slusarz zawinił a kowala wieszają. Stara to bajka, ale wciąż się powtarzająca.

Jak rok po roku giną zabytki dawnego budownictwa w Warszawie, tak i w różnych zakątkach ziemi naszej znikają powoli ślady minionej przeszłości: to ruiny zamków, to świątynie, klasztorzy, to kościołki modrzewiowe, to dwory szlacheckie, to zresztą figury przy drogach, około których nieraz jakaś ciekawa legenda krąży. Przed paru tygodniami dowiedzieliśmy

się, że miał stać się ofiarą wandalizmu zamek prastary w Wiśniczu, ale uspokoił nas protest podniesiony przeciw tej wieści dzisiejszego właściciela Wiśnicza — aż oto znów z powodu takichże zamiarów dowiadujemy się o „ciekawym zabytku w gubernii kaliskiej, w powiecie tureckim, ze wsi Wrząca-Warecka. Jest to „Kamień z wanienką Matki Boskiej“ położony na wzgórzu pomiędzy drzewami, olbrzymich rozmiarów głaz narzutowy w kształcie ostrza szerokiej włóczni, lub strzały z prostopadłemi bokami, mający zagłębienie kształtu symetrycznie wyrobionej wanienki. O kamieniu tym krąży pomiędzy ludem takie podanie:

„Matka Boska w ucieczce do Egiptu zatrzymała się we Wrzącej i tu za dotknięciem się kamienia tenże zamienił się w wanienkę, w której Najświętsza Pani wykapala Dzieciątka Jezus. W garneczkach obok wanienki wodę grzała, a w stożkowym zagłębieniu ustawiła palącą się świecę. W skutek tej cudownej kąpieli, woda znajdująca się w zagłębieniu miała własności lecznicze, bardzo skuteczne na oczy do czasu aż jakiś nieopatrzony owczarz przemysł tą wodą oczy psa swego. Odtąd woda straciła tę moc cudowną.“

Śliczną jest ta legenda o tej ucieczce Maryi, o tej kąpiulce syneczka w waniencie kamiennej, i o cudowności ztąd wody. Ale po co ten owczarz z psem, tak nielicujący z wszech miłością Bożą? Dziwnem jest, że wszystkie obrazy cudowne, figury Chrystusa z włosami rosnącymi, traciły zawsze moc cudowną, z powodu przemycia wodą lub dotknięcia włosami oczu psa. Za ubogą widocznie jest fantazja gminu, gdy nie może zdobyć się na inne tłumaczenie zaniku cudowności, jak na wymysł tak marnej o psie historii.

Kamień ten przez lud miejscowy jest otoczony czcią wielką i w d. 8 Października bywa licznie odwiedzany. Przed laty dziesięciu o mało jednak nie padł ofiarą chciwości dawnego właściciela Wrzącej, który chciał kamień rozłupać. Ale oparł się temu sprowadzony ze wsi sąsiedniej kamieniarz: „Pomimo, że biedny jestem i żyję tylko z tłuczenia kamieni, za żadne pieniądze nie ruszę tego głazu, bo nie chcę ściągnąć na siebie nieszczęścia.“ I w ten sposób cudowny kamień ocalał.

Przed tygodniem odprowadziliśmy na cmentarz Powązkowski wdowę po ś. p. Kazimierzu Władysławie Wojcickim. Cichych to cnót była matrona, ale skoro umiała zapewnić szczęście mężowi, być ożywcem ciepłem domowego ogniska — w zakresie swoim wypełniła służbę bożą godną jest choć krótkiego wspomnienia.

Ś. p. Anna była rodzoną siostrą Dominika Magnuszewskiego. Dość wymienić nazwisko poety-wojaka, ażeby od razu rozszerzył się horyzont myśli i coś poruszyło się w piersi. Ś. p. Kazimierz Wojcicki, zanim osiadł w Warszawie na stałe — nie dobrowolnym był włóczęgą. Towarzyszała mu wszędzie wierna towarzysza jego życia, osładzając ciężkie nieraz chwile żywota. Kazimierz Wojcicki, oddany pracy literackiej, mógł swobodnie zawodzić się swemu poświęcić, wiedząc że w prozie życia wyręczy go żona, opromieniając to życie poezją swojego serca. Ona nieraz dodawała bodźca co do pracy wątplemu z natury mężowi, i była prawdziwą koroną jego głowy.

Niech że jej ziemia lekka będzie!

??

DUCHY.

Duchy jasne — zza mogiły
Niewymowny ślecie czar!
Tyle blasku — tyle siły —
Jakaś wizja cudnych mar!

Jakiś urok,.... dziwnej mocy —
Trwałej siły jest to wdzięk —
Złota gwiazda w ciemnej nocy,
Co uśmierza duszy lęk....
Wiem! — To wiary, to nadziei
I miłości cudny kwiat!
To wśród życia złych kolei
Czarodziejski jakiś świat —
Z poza grobu — siłę szerzy,
Rzuca w ziemię nowy plon,
Z poza grobu — kocha, wierzy —
Dla was duchy — życiem — zgon!

Arista

Wśród mogił.

Miasto umarłych tonie w powodzi światła. To święto tych, którzy tu spoczęli, zostawiwszy za sobą wszystko z rzeczy tego świata...

Dziś żywi, ci których zostawili oni tu za sobą, spieszą złożyć na ich mogiłach dań serdecznej pamięci, nieutulonych żalów, nieprzelkanych szlochów, niemilkłych jęków.

Święto umarłych!...

Ci, którzy pozostali łączą się z tymi, co ich na drodze wieczności wyprzedzili w jeden akt wielkiej psychicznej spójni duchowej.

Świat żywych zlewa się ze światem umarłych.

Przez tłumy, dążące ku mogiłom, przedziera się zwolna, uginająca się pod ciężarem kwiecistych wieńców, niby uosobienie smutku a żałoby, jakaś postać niewieścia.

Młoda jej twarz okala korona włosów, przedwczesną przyprószonych siwizną, w przygasłym oku widnieje wszystek ból, który zszedł ku niej snadź z nad tej mogiły, nad którą stanawszy poczyna ruchem istoty sennej rozkładać kwiaty i wieńce nagrobne.

Przed nią w białym marmurze postać anioła śmierci, z wyrazem bólu bezmiernego w obliczu. Anioł jest wsparty na strzaskanej kolumnie. Poniżej napis:

„Marylce, zgasłej w trzynastej życia wiosnie, nieutuleni w żalu rodzice“, a dalej przyjacielską snadź dłonią skreślony wiersz:

„Tyś u progu wiekuistych bytu tego bram,
Tylko ból a żal po tobie pozostał tu nam,
Tylko w nas się serce kraje wśród goryczy łez,
Że ci Stwórca w wiosnie życia ziemski zesał kres.
Spój spokojnie; niech snu twego niepłoszy ten żal,
Który idzie ztąd za tobą w nieskończoną dal.“

Szklannem okiem wpatruje się kobieta w twarz anioła śmierci i stoi nieruchoma obok tej bieli marmuru, niby zimny głaz.

Rok już, rok długi, staje tu ona nieraz po dniach całych po nad tą mogiłą, która zabrała jej wszystko, co ukochała na ziemi. Dziś całym jej życiem jest to obcowanie z grobem jedynego córki...

Tam, poza bramą cmentarną, bije wspólnym z nią żalem drugie ludzkie serce, serce jej towarzysza życia; tam przecież żyje ona od roku niby we śnie i tylko tu, w obec tej mogiły, wraca jej przytomność i cała świadomość poniesionej straty...

Jak się to stało, że to jej szczęście całe spoczęło pod tym głazem?!

Bóg dał jej to dziecię za całą słodycz i całe szczęście życia.

Dał i odebrał!...

Jak się to stało? Jak się to stać mogło?!

Trzynasty rok zaledwie rozpoczynała jej dziewczka, kiedy padła nagle, jak ten kwiat, skoszony straszliwej śmierci kosą...

Odkąd jej pamięć sięga ta jej słodka dziecina była jej źródłem wielkiej życia pociechy. Niemowlęciem nieledwie zdradzała zdolności niepospolite.

W trzecim roku życia śpiewała już piosenki i całe strofy umiała na pamięć. A dalej, dalej!...

Nietylko już rodzice ale ludzie obcy podziwiali zadziwiającą pamięć i liczne talenta cudownego dziecięcia. Oboje z mężem nie posiadali się z radości nad zdolnościami Marylki. Mieli ją tylko jedną.

Ojciec marzył o tem, żeby mu jedynaczka zastąpiła syna. Diewczątka odziedziczyło najwyraźniej zdolności swego rodzica. Mogła pójść wysoko. A matka? Dla jej macierzyńskich ambicyi niebyło dość śmiałych granic. Wraz z mężem zapragnęła kształcić ją jak najwyżej. Środki pozwalały im na to w zupełności.

Z dziwną w wieku dziecięcym ochotą wchłaniała w siebie ich dziewczeczka podawaną jej hojnie wiedzę.

Ach, jak to ona dobrze pamięta, jak pamięta, wyraźnie każdy najmniejszy szczegół, w macierzyńskim sercu zapisany żywo...

Ileż to razy wprowadzała rodziców w zachwyt szczery mała Marylka swą gorliwością w pracy. Przepadała naprzykład za nowemi książkami do nauki. Ilekroć jednak dano jej książkę małego formatu żaliła się, że się niewiele z małej książeczki nauczy prosząc o większą...

A talenta?

W piątym roku życia rozpoczęła naukę fortepianu, miała następnie zdolność do rysunków, upodobanie w malarstwie. Jak tu nie było uczyć tego dziewczęcia, jak nie zakładać wiele na jej wykształceniu!

W nauce małej wprowadzono regulamin, dzięki któremu najwięcej zyskiwano na czasie. Kiedy Marylka dosięgała dwunastego roku życia każda jej chwila była tak zajęta, że nic z jej drogiego czasu nie poszło na marne.

Od 9-ej z rana do 3-iej nauki, po obiedzie talenta. Nieraz biedactwo, gdy przyszły zwłaszcza trudniejsze zadania przygotowywało do lekcji, przejść się nie miała kiedy. Był wprawdzie w programie, przez wytrawnych pedagogów układanym, i obowiązkowy spacer i obowiązujące godziny ówczesnych ćwiczeń cielesnych, nie zawsze jednak dało się to z wymaganiami, powiększających się z każdym rokiem godzin naukowych zająć pogodzić.

Z początku przestrzegano starannie równomiernego podziału czasu na zajęcia umysłowe i fizyczne ćwiczenia. Gimnastyka była uważana na równi z gramatyką.

Piękna ta jednak harmonia nie dała się długo utrzymać. W miarę postępu nauk coraz mniej zostawało czasu na używanie koniecznego dla zdrowia ruchu, na rozwijające organizm dziecka ćwiczenia cielesne.

Aż dziewczątka poczęło blednąć, upadać na siłach i z mniejszą werwą garnąć się do książki. Lekarze doradzali wypoczynek, przerwanie na czas pewien nauk, zalecali dużo swobodnego ruchu na wolnym powietrzu i spokój dla przeczulonych nerwów dziecka.

Znaleźli się przecież życzliwi doradcy, pocieszając zatrwożonych rodziców w strapieniu. Grając tu mógł rolę wiek przejściowy dziecka, nadchodzi wypoczynek letni, a na rok przyszły dosyć będzie czasu zreformować plan nauk.

Następowały egzamina wiosenne.

Marylka w małym gronku, dobrze dobranych towarzyszek pracy, spędzała teraz dni całe nad książką. Po egzaminach odpocznie, teraz opieszalnością zawstydzić się nie da.

I przebrnęła w ten sposób dziewczeczka pięć, poważnie stwierdzonych prób tego, co w ciągu roku pracą nad książką zdobyła.

Rezultat naukowy był ze wszech miar pomyslnym.

Przed szóstym egzaminem jednak zapadła silniej na zdrowiu... O zwykłej porze do książki już nie wstała... Nad wieczorem dostała dreszczów, silnego bólu głowy, wreszcie straciła przytomność...

Lekarze orzekli zapalenie mózgu, komplikacje...

Trzeciego dnia choroby posłano już tylko po księdza... Nie odzyskawszy przytomności, naza-jutrz z rana umarł...
— Jak się to stało? Jak się to stać mogło?!...
Automatycznym ruchem strojąc mogiłę kwia-ty zadaje sobie raz po raz pytanie nieszczęsna matka... Czyż nie było jej obowiązkiem dać wykształcenie tak zdolnemu dziecku, czyż mia-ła edukację swej córki zaniedbać?...

A głos nieubłaganej prawdy mówi jej strasz-nej rzeczy...
Najlepsze jej chęci poszły na zgubę dziecka, gdy do ich urzeczywistnienia nie posiadała od-powiedniej wiedzy...
I ciężkie łzy płyną z oczu nieszczęsnej i już nie pyta Boga za co ją tak ukarał?
A mroźny wiatr, szumiący w śród cmentarza zcałowuje z jej oczu te łzy męczeńskie i cichym jakimś żalonym poszumem wtóruje jękom nie-szczęśliwej matki.

Marya Czesława.

BEZ DUSZY

POWIEŚĆ

przez

Gecylję Walewską.

(Dalszy ciąg).

Od trzech dni tedy jesteśmy na małej niefo-remnym trójkątem nad powierzchnią morza sterczącej wysepce; od trzech dni oddychamy powietrzem, które, według jakiegoś mądrego profesora niemieckiego, daje płucom siedem lat zdrowia. Od trzech dni błądzimy między szeregami małych, jak pałacyki z kart, chat ry-backich. Przed każdą z nich ogródek, pełen kwiatów; w oknach franki śnieżnej białości, porcelanowe doniczki z pelargonją i różami. Z każdej sieni dolatuje głos rozbawionych dzie-ci, których pilnuje tu dziadek, paląc fajkę, za-patrzone w budujące się forty morskie, tam babka w krochmalnym białym czepku z robotą w ręku.

W słoneczne ranki gwaro tu i żwawo. Wy-goleni rybacy suszą sieci na palach; kobiety rozwieszają bieliznę w głębi kwiatowych ogród-ków; zewsząd dochodzą śmiech i rozmowy lu-dzi szczęśliwych, którym dobrze na małym czerwonym trójkącie dolomitu. Burzą go wieh-ry, podmywa woda, obrywając skałę część po części, rybak zachaczony o powierzchnię jej, śmieje się do warczących u stóp jego głębin morskich, jak ptak, rozbujany na gałęzi drzewa nad przepaścią, śmieje się do nieba i słońca.

Ptak śpiewa słońcu i obłokom a fryzyczyk, pełen radości i dumy, składa hołd olbrzymowi—morzu, którego nie zdołają roznieść wichry i bu-rze. Śmierć w niem to nie kara, to może ra-dosne przebudzenie: rybak morzem żyje, w mo-rzu zginąć powinien...

Codzień, mijając kościół i zieloną łąkę, na której pasie się kilka krów graniastych i kilka-naście białych baranków, jedyny inwentarz na wyspy (koni nie znają tu wcale), stajemy na skraju jej, z kąd wzrok pada na szmaragdowe morze, paroma szafirowymi smugami, niby koń-cami ruchomych welonów dokoła wyspy opa-sane.

Codzień, co rano, wieczorem, w południe pa-trzymy na niebo bez chmur, cieszymy się pogo-łą, słońcem, powietrzem. Codzień.

Nuna przerwała list nagłe.
Kreśląc go, nie zdawała sobie sprawy, do ko-go pisze; teraz jednak pomyślała, że opowiada-nie jej zbyt było ogólnikowe i suche, że należa-ło uzupełnić je jakimś czysto osobistym zwro-tem i wynurzeniem. Wzięła zatem pióro po-

nownie i, nachyliwszy się, przekreśliła ostatni wyraz, dorzucając natomiast:

Dobrze nam tutaj, brak tylko...

Wypadało dodać: Ciebie, otrząsnęła się wszakże.

Nie, takiego kłamstwa nie popelni za żadną cenę... Rzuciła pióro; przegięła się w tył, na poręcz fotela, a potem wstała szybko i podeszła do okna.

Z nad brzegów morza dolatywały dźwięki muzyki. Grano walca: M'aime-t-il?

Słońce świeciło; szeregi pań i panów w bia-łych flanelowych kostiumach spuszczały się windą z górnej części wyspy na dolny jej od-łam, piaszczystym trójkątem wsunięty w głębi-nę wód.

Pisać teraz, kiedy tam, na wybrzeżu, rozpo-częta siesta w najlepsze, co za niedorzecz-ność!

Trzeba wejść wreszcie między ludzi; trzeba rozpocząć życie zabaw i rozrywek, dla których przyjechała tutaj.

Nie namyślając się długo, odstąpiła od okna i zadzwoniła na służącą. Szybko przy jej po-mocy zrzuciła z siebie szlafroczek, by włożyć białą szewjotową suknię, przeznaczoną na ranne spacerowanie. Białą skórzaną pasek, białą czapczka na głowie, miały dopełnić stroju.

Wiedziała, że wygląda w nim, jak młoda miss angielska, niedawno w świat wprowa-dzona.

Kto byłby odgadł, że ma lat trzydzieści, że wyszła za mąż już po raz drugi, że zostawiła w kraju dwoje dzieci, dwunastoletniego chłopca i dziesięcioletnią dziewczynkę i że teraz nosi katusze obcowania z człowiekiem, do którego ma wstręt nieprzewyciężony?

Ani jedna zmarszczka nie przecinała gładkiej jej twarzy. Na skroniach wiły się żyłki nie-bieskie, jak u dziecka. Popielate włosy, czarne oczy, nos delikatny, jak u kamei, tchnęły świe-żością dziewczęstwa.

Kto może być tutaj ładniejszy odemnie?—po-myslała, patrząc na siebie w lustrze.

Byłaby klękła przed sobą z zachwytem,

— Boże, zostaw mi tę urodę przez całe ży-cie!—westchnęła, kreśląc znak krzyża i składa-jąc ręce, jak do modlitwy.

Ilekróć przyszło jej na myśl, że może zesta-rzeć się i zbrzydnąć, z wiarą ascetki wyciągała ręce do Boga i błagała, by zostawił jej wieczną piękność, wieczną młodość. Zresztą, nie modli-ła się i nie czuła potrzeby modlitwy nigdy.

Strój jej dobiegł do końca.

— Poproś starszego pana, rzekła, przejrza-wszy się w lustrze po raz ostatni, nakładając zwol-na białe duńskie rękawiczki.

— Powiedz, że zejdziemy nad morze!—doda-dała do odchodzącej czerstwej, tęgiej holender-ki, którą przeznaczono do usług jej.

Nad morzem już wrzało życie. Grupy kąpie-lowych gości otoczyły pawilon z orkiestrą. Reszta porzysiadła się w koszach i prowizo-rycznych płóciennych namiotach bliżej wy-brzeża.

W wielkim bujającym fotelu, paląc cygaro, spo-czywał młody berlińczyk, zwany ogólnie „Pschüt-tem“, ponieważ na wszystko, cokolwiek mówio-tem do niego, odpowiadał „pschütt“ lekceważ-ny tonem filistra, obojętnego na drobne i więk-sze zagadnienia życia.

Otrzymałszy od ojca, starego junkra prus-kiego, tysiąc marek w nagrodę za dwanaście celnych strzałów z odległości dwustu kroków, stracił w ciągu trzydniowej podróży 900, za resztę przyjechał na odludną, jak sądził, wyspę, kąpiąc się dwa razy dziennie w morzu, kie-by, kąpiąc się dwa razy dziennie w morzu, kie-lyszkiem konjaku i porcją kawy oszukując głód, czekać na świeży transport pieniędzy, które w sekrecie przed twardym jak pięść Bis-marka, ojcem miała mu przysłać babka.

W chwilach gorącej tęsknoty za... porcją smacznego roastbeefu grał na mandolinie. Gdy tęsknota przechodziła w rodzaj gryzącej melan-cholji, zmieniał flanelowy kostjum morskiego gigerla na tużurek empire do kostek i szedł do kurhauzu dla przetańczenia kilku walców i za-dyrgowania kadrylem. Zdrowy pruski rozum

nie pozwalał mu na poddawanie się smutkom i pieniądze miały nadejść lada chwila; czyż war-to było rozdzierać szaty nad chwilowym ich brakiem?

W trzech dwuosobowych, zestawionych ra-zem koszach, siedziała rodzina głośnego ham-burskiego artysty dramatycznego, którego żona była znaną śpiewaczką, starsza córka znaną for-tepianistką, młodsza—znaną autorką, syn jedy-nak znanym akwarelistą, siostra znaną wodewi-listką.

Między grupami wypoczywających w spoko-ju kąpielowiczów przechadzał się olbrzym w ciemno szafirowym monoklu na prawem oku, które stracił w pojedynku. Nazywano go „Cy-klopem“ i opowiadano o nim, że za życia sprze-dał szkielet swój właścicielowi jakiegoś prywat-nego muzeum w Berlinie, otrzymując w zamian sześćdziesiąt marek pensji dożywotniej miesięcz-nie, który to dochód powiększał ze sprzedaży dziennika „Monstre“, pisanego i redagowanego przez siebie.

Numer układany co trzeci dzień, wychodził z rana. W tej chwili Cyklop roznosił go właśnie, wsuwając do skórzanej torby otrzymywane za niego fenigi i marki i zwiastując głuchym ba-sem zawartą w nim sensacyjną nowość, miano-wicie, wiersz na cześć nowej piękności, która stopą bogini dotknęła białych piasków fryz-yskiej wyspy.

— To onal to onal!—szeptało, gdy, oparta na ramieniu ojca, Nuna szła wzdłuż wybrzeża i zdawała się nie spostrzegać ruchu, wywołane-go ukazaniem się swoim.

W tem podniosła oczy. Pierwszą osobą, na którą padł wzrok jej, był francuz z okrętu.

Uśmiechnęła się do niego mimowoli.

On wstał i, wyprostowany, jak żołnierz, się-gnął ręką za kapelusze.

W tej chwili Nuna, patrząc dokoła, miękkim głosem pieszczonemu ptaka rzekła:

— Niema już ani jednego kosza dla nas. Na ławce nie bardzo mam chęć siedzieć: słońce w same oczy...

— Pani życzy sobie kosza?—Oto tuż w bli-kości orkiestry stoi mój na dwie osoby. Jestem przezorny: lubię myśleć o towarzyszu lub... to-warzysze rannej siesty. Pozwoli pani służyć nim sobie?—rzekł francuz, przystąpiwszy do niej szybko i wskazując ręką fotel, ociemniony chińskim parasolem.

Na marmurową twarz Nuny wystąpił wyraz zakłopotania.

Dziękuję, ale... pragniemy spocząć cokolwiek dalej od pawilonu z orkiestrą—rzekła, spuszcza-jąc powieki.

— Oh, to drobiazg: przeniesiemy kosz natych-miast. Ale prawda: przedewszystkiem nazwisko moje. Jestem Sarcey, bratanek zmarłego nie-dawno krytyka.

Nuna puściła ramię ojca. Panowie szybko za-mienili bilety wizytowe.

— Ah, polacy!—zawołał francuz, usiłując przesyłabizować nazwisko Brzozowskiego.—Od-razu poznałem to po dźwięku mowy państwa. Pani powiedziała przytem przed chwilą, szuka-jąc miejsca „kosz“. Znam to słowo. Używa go się, chcąc wyrazić, iż mężczyzna dostał odpra-wę od kobiety, albo też znaczy to nasze „cor-beille“. Jak to dobrze coś umieć!—Francuzka, bawiąca w Polsce czas jakiś, nauczyła mię tego wyrazu: inaczej, nie byłbym miał szczęścia zro-zumieć szanownej pani...

Przeniesiono cokolwiek dalej dwuosobowy kosz francuza z chińskim baldachimem. Brzo-zowski usiadł w nim z Nuną; francuz, zapytaw-szy, czy można?—w pół leżącej postawie wycią-gnął się u stóp ich na piasku.

— Co za rozkosz ta swoboda nad morzem!—Gdybym tak w salonie nie tylko położył się, ale ukląkł przed kobietą, którą widzę po raz pierwszy, wzięto by mnie za warjata.—Tutaj—wszystko wolno...

Rozmowa potoczyła się na temat jasnych i ciemnych stron pobytu na wybrzeżach mor-skich.

— Dobrze tutaj; powietrze nadaje podwójną siłę płucem; tylko ten duszący zapach jodu nad

wieczorem; oh, to okropne!—mówiła Nuna cieniem, misternym głosem ptaka.

Dokoła kosza francuza rozpoczęły się wędrówki ludzi, którym powiedziano, że tam właśnie usiadła w tej chwili młoda polka, bohaterka ostatniego sonetu Cyklopa.

Panie przykładaly do oczów szyldkretowe binokle; panowie wyteżali wzrok, by z za chińskiego baldachimu dojrzeć reklamowaną piękność.

— Śliczna rzeczywiście... jak z marmuru wykuta... Ten starszy pan obok niej to ojciec zapewne: podobni do siebie, jak dwie krople wody... rysy te same... klasyczne twarze greckie... szeptało dokoła.

— Pani staje się przedmiotem ogólnej uwagi — rzekł francuz, spoglądając na zaintrygowane tłumy. Od dwóch dni już mówią o pani... Dla czego dziś dopiero raczyła pani zejść na wybrzeże w porze, kiedy łączą się wszyscy?..

— Błądziłam z ojcem po wyspie; chciałam ją poznać, nim wpadnę w wir ludzi... Nie żałuję tego: wypoczęłam po podróży; przybyło mi sił do nowych wrażeń... Dziś... bardzo mi dobrze tutaj — odpierała, obrzucając francuza spokojnym, poważnym napozór wejrzaniem, w głębi którego jednak tkwił milczący rozkaz:

— Zostaniesz moim niewolnikiem; będziesz nim dopóty, dopóki zechcę...

Muzyka już przegrywała ostatni numer programu, wstęp do Lohengrina Wagnera, którego z namaszczeniem słuchała gromadka skupionych dokoła orkiestry anglików i niemców, gdy w tem przed koszem francuza zatrzymało się niespodziewanie dwóch młodych ludzi w białych flanelowych garniturach, w żółtych pantoflach z gumowymi podeszwami i w białych czapkach na głowach.

Skinawszy na Sarcey'a, dali znak, aby przedstawił ich pięknej polce oraz jej ojcu.

— Baron Baden, mój trzydniowy znajomy i przyjaciel jego, pan Ernest Schunke, artysta muzyk — rzekł francuz, podniósłszy się, wskazując ręką na dwóch młodych ludzi, lalki, wycięte z ostatnich, kąpielowym modom poświęconych żurnali.

Nuna skłoniła głowę w milczeniu. Brzozowski wstał i, podawszy rękę dwom nieznanym, wymieniał nazwisko swoje.

Chwilę trwało milczenie, poczem Baden zwrócił się do Nuny.

— Przyszedłszy prosić panią na królową zabawy, jaką za tydzień urządzamy — rzekł z niskim ukłonem. Ma to być korowód i bal kostiumowo kwiatowy śmietanki tutejszego towarzystwa. Panię w ogóle wybierają kostiumy dowolne; chodzi o to tylko, aby było jaknajwięcej kwiatów; pani wszakże, jako królowej radzilibyśmy narzucić strój i uczesanie Boticellowskiej Primavera. To modne w danej chwili. Przytem... pragniemy naprawić błąd mistrza epoki Odrodzenia, który nie znał się na piękności kobiecej i pokazać światu, jak czarującym byłby jego obraz, gdyby nieśmiertelny Sandro był znalazł wzór swój o pięć wieków później...

Jednym tchem prawie, akcentując niektóre wyrazy i zdania silniej, na innych przyciszając głos cokolwiek, jak człowiek dobrze wychowany, który wie, iż nie wypada pięknej kobiecie mówić zbyt głośnych komplementów, by jej nie obrazić, młody baron, prezes komitetu zabaw w ostatnim sezonie, wyrzucił z siebie potok słów, którym towarzyszyły dyskretne, ale wymowne spojrzenia znawcy i wielbiciela niewieściej urody.

Muzyk, skorzystawszy z przerwanej nagle dla tem silniejszego efektu odezwy przyjaciela, zabrał głos z kolei.

— Właściwie, nie od siebie tylko prosimy panią o wielką łaskę przyjęcia berła królowania w naszej zabawie. Zostaliśmy wydelegowani przez cały komitet, który tu przed chwilą odbył tajne głosowanie. Na cześć Boticellogo i jego bohaterki uroczystość otrzyma nazwę „Święta Wiosny.“ Liczymy, iż pani nie zechce nam odmówić udziału swego: bylibyśmy niepokieszeni w takim razie...

Nuna podniosła na mówiącego wielkie swe

oczy, w których zabłysło parę zimnych płomyków zadowolonej próżności.

— Proszę przedewszystkiem o pokazanie mi wizerunku Primavera; widziałam ją wprawdzie kilka lat temu w jednej z galerii florenckich, ale nie pamiętam: wydała mi się jakaś szara, brudna wtedy... Pomyślałam, że, gdyby namalowano obraz żywsemi barwami, zyskałby niewątpliwie... Ale to zdanie dyletantki, która nie odczuwa sztuki... rzekła ze spokojem posągu.

Stanoło na tem, że tego dnia jeszcze popołudniu baron wraz z muzykiem mieli stawić się u niej z kolorowaną kopią Boticellowskiej Wiosny. Tymczasem zaś całe towarzystwo, podniósłszy się z miejsc, postanowiło pojechać łódką na sąsiednią diunę do kąpeli, których z powodu niewygodnego brzegu nie można było używać na wyspie.

Tego wieczora pod zaczęty z rana listem do męża Nuna pisała:

„Przed paroma godzinami zostałam zaproszoną na bal.

„Święto Wiosny.“ Taki tytuł na cześć modnego w tej chwili obrazu Boticellogo otrzymała przygotowywana tutaj za tydzień wielka zabawa. Na ogólne żądanie mam być Primavera, naturalnie, trochę piękniejszą od Boticellowskiej. Obmyśliłam już kostium: gaza w kwiaty wzorzyste na blade różowej jedwabnej podszewce. Girlanda świeżych kwiatów na włosach, na szyi, uczesanie, jak na obrazie, modne zresztą tutaj, większość angielskie bowiem nie nosi włosów inaczej.

„Wtajemniczam cię w te szczegóły, jako znawcę — estetę, którego one zajmą niewątpliwie.

„Zabawa ma być wspaniała. Umyślnie określamy sprowadzają na ten dzień kilka par kucyków i fantazyjne małe powozy. Tu, po naszej małej wyspie nikt, naturalnie, nie jeździ.

„Uroczystość rozpoczyna się po południu korowodem pań i panów kostiumowych w powozach, aby miejscowa ludność i goście, nie przyjmujący udziału w zabawie, mogli zobaczyć nas wszystkich. Ja mam jechać na białej platformie, ciągniętej przez dwóch fryzyczyków w strojach bohaterów Boticellowskich.

„Powiesz może, że nie wypada publikować się w ten sposób, cała arystokracja tutejsza przyjmuję wszakże udział w korowodzie, którego królową ja zostałam obrana przez ogólne głosowanie.

„Szczegółowy opis „Święta Wiosny“ prześlę ci w wychodzącym tutaj dzienniku „Monstre“, który poświęci mu oddzielny numer. Tymczasem proszę mi życzyć dobrej zabawy i przyjąć uściśnienie.

Nuna.“

List z godzinę, może nawet dłużej, leżał nie zapieczętowany. Na kopercie trzeba było napisać: „Zarzecki;“ nie mogła zdobyć się na to: takim wstrętem, taką ohydą napelniała ją każda litera tego wyrazu. Przytem... popełniła kłamstwo: przesała uścisk, od którego całą siłą broniła się w myśli.

Czy to nie było wstrętą komedią fałszu, komedią, którą zresztą grała ciągle, a która ją poniżała?

Kiedy i jak skończy się to wszystko? Westchnęła ciężko i, zwiesiwszy głowę na piersi, wpadła w zadumę; w chwilę później zaś spytała sama siebie:

— Czemu ja nie kochałam nigdy tak, jak teraz... nienawidzę? Czemu nie czułam do nikogo takiego serdecznego, gorącego pociągu, jak teraz czuję wstręt odpychający?

Czemu? Czemu? Nienawidzę po raz pierwszy, a zatem może i miłość spadnie na mnie, ta miłość, o której pisała poeci, na którą patrzyłam tyle razy, gdy zwracała się ku mnie, a której jednak sama nie doznałam nigdy...

Co to jest miłość? Może w niej tkwi naprawdę owa dusza, której brak widzą we mnie? Może ona odradza, nawraca, może wskazuje drogę obowiązku, może tłumi tęsknotę i zabija nudę?

Czy wszyscy tak tęsknią za czemś, jak ja tęsknię? Czy wszyscy nudzą się, jak ja się nudzę, odkąd oczy na świat otworzyłam?

Nie, ale może dlatego, że każdy coś lub kogoś kocha, a ja nie kochałam i nie kocham nic, nikogo.

Może miłość odrodziłaby mię, dałaby mi nowe życie?

Podniosła ręce i zasłoniła niemi oczy. Pod powiekami jej zamajaczył obraz, widziany raz kiedyś w malinie.

Nad wielką, światłem księżycowem zalaną płaszczyzną z krzyżem pośrodku unosiła się ona, cień biały, z wyciągniętymi w górę ramionami, szukając czegoś, goniąc jakieś widziadło.

— Czego ja chcę? Za czem tęsknię?

Usta jej poruszyły się głośnym pytaniem, które ją przeraziło.

Podniosła głowę, spojrzała dokoła siebie. W pokoju nie było nikogo: leżał przed nią tylko list, niezaklejony.

Wzdrygnęła się. Zrazu chciała podrzeć go w kawałki, dała pokój jednak.

— Ojciec, zaadresuje go jutro — pomyślała i, podniósłszy się z miejsca, zaczęła zdejmować z siebie ubranie do snu.

Rozczesując włosy, stanęła przed lustrem i wpatrzyła się w siebie.

Była to największa jej rozkosz. Po każdej takiej modlitwie przed samą sobą czuła się niemal szczęśliwą.

— Jak dobrze być tak piękną! — szeptała w radosnym upojeniu.

Gdy w jakiś czas potem przymykała oczy, chcąc zasnąć, tęsknota, niepokój i wrażenie głuchej, męczącej pustki wróciły jednak.

Znowu zaczęła pytać:

— Czemu ja dotąd nie kochałam nic i nikogo? — Czy pokocham kiedykolwiek? Czy mię to zmieni, odrodzi? Kogo jabyam mogła pokochać? Chyba jakiegoś wielkiego poetę, artystę, który przedewszystkiem zajął moją wyobraźnię. Dotąd, jeżeli ktoś podobał mi się przelotnie, to tylko wówczas, gdy okazywał się nieskończenie wyższym odemnie umysłem, talentem i gdy miał wielką sławę...

Dla sławnego człowieka poniosłabym tysiące ofiar, do których, zdawałoby się, nie jestem zdolną. Nie znałam dotąd ani artystów, ani poetów takiej wielkiej wszechświatowej sławy. Otoczenie moje to sami filistrzy, którym zdaje się, iż sławę i talent kupić można za pieniądze. Mąż mój naprzykład, śmieje się ze mnie, ilekroć mówię mu, iż szaleć mogłabym tylko za jakimś niezwykłym geniuszem.

„Geniusz — to dar robienia z grosza dukata — odpowiedział mi kiedyś. Znienawidziłam go wówczas po raz pierwszy, ja, która.

Chciała dodać: „sprzedałam się dla dukatów.“ Przerwała jednak nagle tok rozmowy.

Nie lubiła myśleć o Zarzeckim i stosunku swym do niego: uczuwała zawsze niesmak, wprawiający ją w silne rozdrażnienie.

Zmrużyła oczy, postanawiając zasnąć. W rozpamiętywaniach jej przemknęło raz jeszcze: „Gdybym spotkała wielkiego jakiego poetę lub artystę, może bym go pokochała... poczem myśli jej poczęły mącić się, związać w mglisty тумan, zaglądający pod powieki.

W chwilę później zasnęła, a w majaczeniach jej sennych, niewiadomo z kąd i dlaczego, przesunęła się twarz ascetycznego blondyna, spotkanego na okręcie. Patrzyła nań długo i, zdawało się, że zna go oddawna...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Życie towarzyskie w Paryżu

PRZED STOMA LATY.

(Dokończenie).

Mniemanie, które się przez długi czas utrzymywało, jakoby dowództwo we Włoszech, było nagrodą udzieloną Napoleonowi przez Barrasa za to, że młody generał ożenił się z Józefiną de Beauharnais, była miłością potężnego członka Dyrektoryatu, mniemanie to, wobec późniejszych badań i wyswietlonych faktów, upadło. Już w 1795 r. Bonaparte znanym był jako wyjątkowo zdolny i odważny oficer, który się odznaczył w Tulonie a następnie tegoż roku, w Październiku, z energją, nie rachującą się z niczem, uśmierzył bunt rojalistów, zagrażający nowemu rządowi. Pomiedzy jednym a drugim zwycięstwem leżało wprawdzie kilka miesięcy ciemnych, spędzonych w ubóstwie, podczas których Bonaparte skompromitowany jako stronnik Robespierre'a, pozostawał bez środków do życia. Po wielu staraniach udało się Napoleonowi zaznajomić z rozmaitemi wpływowemi osobistościami i uzyskać wstęp na salony Barrasa. Tam pewnego wieczoru został przedstawiony pięknej pani Tallien, która dość łaskawie patrzyła na niepozornego oficera. W rozmowie z nim poczęła żartować, że skorzysta ze swoich wpływów, i wyrobi mu zapomogę, by sobie sprawił nowy mundur, albowiem zauważyła iż ten, jaki Napoleon miał na sobie, mocno był zniszczony. Zachęcony i osmielony wesołością i bezceremonjalną dobrocią pani Tallien, Bonaparte pozbył się zwykłej powściągliwości, wmięszal się w koło strojnych dam i świetnego towarzystwa i odrazu ściągnął na siebie uwagę wszystkich. Każde odezwanie się jego było niezwykle, każdy żart zawierał oryginalny dowcip. Wreszcie poczał się bawić w przepowiadanie przyszłości z ręki, co było wówczas w modzie, a co dało mu sposobność do wypowiedzenia nie jednego zdania, którego w inny sposób wypowiedzieć by jeszcze nie śmiał.

W owym czasie społeczeństwo we Francji, podobnie jak prawie wszystkie społeczeństwa w Europie, było niezmiernie zabobonne. Przepowiadających śmierci odgadujących przyszłość z kart, nie brakło w żadnym towarzystwie i do dziś jeszcze pozostał w tradycji traf szczególnie, jakoby stara węgierska cyganka na Martynice z drobiazgową ścisłością przepowiedziała przyszłe losy późniejszej cesarzowej Józefinie.

Prawdopodobnie owego wieczoru, kiedy Napoleon po raz pierwszy zajął wybitniejszą rolę w towarzystwie, Józefina, obecna tam także, daleką była od przypuszczenia, że ten szczupły, małego wzrostu oficer stanie się wkrótce jej panem i władcą. W kilka tygodni później, Bonaparte, przez obronę Konwencji, został odrazu sławnym, pojawiał się coraz częściej w salonach Barrasa, właściwie w salonach pani Tallien i rozgorzał gwałtowną namiętnością ku pięknej, pełnej wdzięku Józefinie, która z wytrawną kokieteryą grała na próżności i na sercu niedoświadczonego na tem polu oficera. Prześladował ją miłością swoją na każdym kroku, ona zaś choć w rzeczywistości miłości owej nie podzielała, umiała jednak podsycać ją ciągle. Józefina straciła podczas strasznych dni Rewolucji męża, majątek i stanowisko i z dwojgiem dzieci, Eugenjuszem i Hortensyą, pozostała z tak szczupłemi środkami, że głównie żyła z pomocy i wsparcia, udzielanych jej przez przyjaciół i przyjaciółki. Nie żyła wszakże jako poważna, zubożała wdowa, lecz z karygodną lekkomyślnością rzucała się w wir zabaw i brała udział we wszystkich balach i uroczystościach organizowanych przez żadne rozrywki „nowe towarzystwo”. Opinia jej nie należała do najszczytniejszych, ale kto tam pytał o opinię kobiety w salonach Barrasa, gdzie pani Tallien i jej podobne

damy nadawały ton i królowały na zebraniach najliczniejszych.

Piękna, licząca nie mały zastęp wielbicieli, pani Beauharnais, nieraz myślała z obawą o przyszłości i pragnęła znaleźć opiekuna dla siebie i dla swych dzieci, potrzeba jednak było silnej namowy ze strony Barrasa, aby lekkomyślną kreolkę skłonić do oddania ręki Bonapartemu. Namiętny, coraz jaśniej występujący charakter Napoleona, wzbudzał w Józefinie prawdziwą trwogę. Różnica wieku, — Bonaparte liczył wówczas lat 27, — Józefina 35, — niepokoiła ją także ze względu na przyszłość. Po długich wreszcie namysłach i namowach, a wkrótce po назначeniu Bonapartego głównodowodzącym armją we Włoszech, pani Beauharnais zgodziła się zostać jego żoną. Związek małżeński, bez kościelnego błogosławieństwa, podpisany został d. 9 Marca 1796 r. Księgi stanu cywilnego nie były wówczas prowadzone z arcy skrupulatną ścisłością i nowo zaślubieni skorzystali z tego, aby zatrzeć różnicę wieku. Napoleon dodał sobie rok jeden, Józefina wykreśliła z wieku swego lat sześć, i tak zapisano jemu lat 28, — jej 29.

Dwa dni tylko cieszył się Napoleon swoim szczęściem przy boku szalenie kochanej kobiety w domku jej, przy ulicy Chanteraine. Podążył na drogę sławy, której brzask opromieniał pierwsze jego wojenne kroki, a która w całej świetności wiekopomnego blasku spłynęła na czoło zwycięzcy w Medyolanie.

Sława wojenna nie zapełniała jednak potrzeb jego serca. Bezgranicznie tęsknił za ukochaną Józefiną i śłał do niej kurjera za kurjerem, z listami pełnemi najczulszych zakłęb, aby skłonić ją do opuszczenia Paryża i przybycia do Medyolanu. Sądził że ona równie tęskniła za nim i że ją połączenie z nim uszczęśliwi. Atoli mylił się w tem, jak zwykle zaślepiony w miłości człowiek. Józefina nie myślała wcale o tak dalekiej podróży i o połączeniu się z mężem, który jej był najzupełniej obojętny. Wolała swobodnie bawić się w Paryżu, przyjmować udział w rozmaitych, wydawanych na jej cześć uroczystościach, z których najświetniejszą i najbardziej pochlebną dla Józefiny, była uroczystość oddania jej zdobytych przez męża sztandarów, przywiezionych do Paryża przez adjutanta Bonapartego, pułkownika Junot.

W wielkiej sali w pałacu Luksemburskim, urządzonej na ten dzień z przepychem, o jakim zamarzyć trudno, Dyrektoryat przyjmował gońca Napoleonowskiej sławy, oczy zaś wszystkich spoczywały na żonie zwycięzcy, która, piękniejsza aniżeli kiedykolwiek, w greckiej sukni, haftowanej złotem, przyjmowała hołdy, mając po jednej stronie urocą panią Tallien, po drugiej — równie piękną, i cieszącą się wyjątkową pomiedzy ówczesnemi kobietami opinją, cnotliwą, zacną panią Récamier. Wspaniała dzień majowy tworzył poetyckie, cudne tło do obrazu, który uczestnicy uroczystości do końca życia zachowali w pamięci.

Pomimo wszakże zażywania w całej pełni honorów, jakie na nią, jako na żonę Napoleona spadały, Józefina pozostała niewzruszoną miłosnemi listami stęsknionego małżonka. Na słowa pełne gorących uniesień odpowiadała rzadko i dość niedbale, za powód zaś upartego pozostawania w Paryżu podawała nadwątłone zdrowie, co, obok tęsknoty, budziło w sercu Napoleona szalony niepokój.

„Dopóki kurjer mój nie wróci“, pisał Bonaparte — „nie zaznam chwili spokoju. Straciłem sen i nic nie jest w mocy pocieszyć mnie dopóki nie odbiorę od Ciebie długiego listu. Powiedz, najdroższa, że wierzysz, iż kocham cię nad wszystko na świecie, że tylko o Tobie myślę, że nigdy żadna inna kobieta nie staje w mej wyobraźni, że Ty jedna, jedyna, zapełniasz moją duszę... Tak pisał Bonaparte i też same myśli powtarzał w niezliczonych wariantach.

— Potrzeba było dość długiego czasu, aby powziął pierwszą wątpliwość co do prawdziwych uczuć Józefiny. Sądził on zrazu że miłość dla niego podniesie ją i oderwie od przeszłości — która i jemu nie mogła pozostać nieznaną. Przy-

szła jednakże nieufność, a w ślad za nią, pewnością, że pospolita dusza pięknej kreolki nie umiała zdobyć się na to, aby zrozumieć takiego jak Napoleon człowieka i odpowiedzieć miłością na jego namiętne przywiązanie.

Gdy żadne prośby i zakłęcia nie skutkowały, Napoleon posłał wyraźny rozkaz, który Józefinę do podróży zmusił. Wyjeżdżając z Paryża wylewała potoki łez, nadzwyczajnie jednak rychło przywykła we Włoszech do nowego otoczenia i do stanowiska żony zwycięzcy, której holdowano jakby jakiej królowej. Napoleon łudził się nadzieją, że Józefina podąży za nim w dalszej wojennej wędrówce, lecz jej to nawet na myśl nie przyszło. Pozostała z licznym dworem w Medyolanie, gdzie się zabawiała równie dobrze jak w Paryżu.

Jako zwycięzca, na którego oczy całego świata były skierowane, w Listopadzie 1797 roku, po podpisaniu pokoju w Campo Formio, powrócił Napoleon z Włoch pozostawiając tam wszelkie złudzenia co do miłości Józefiny. Od tego czasu śledził jej postępowanie i stanowił o sposobie jej życia, rozumie się o tyle, o ile to przy częstych jego wyjazdach było możliwem.

Powracających z Włoch witano we Francji wspaniałemi festynami i w tym to czasie życie towarzyskie rozwinęło się bardziej do dawnego podobne. Nie brakło znów w Paryżu salonów, w których wedle dawnej francuskiej tradycji, kobiety przez wdzięk i wyższe zalety umysłu, starały się wywierać wpływ na ówczesne znakomitości.

Pierwszorządne stanowisko w tym kierunku przyznać należy p. de Staël, córce bankiera Neckera. Niezwykłym obdarzona umysłem już od najmłodszych lat zajmowała się polityką i do końca życia przyjmowała żywy udział w różnych sprawach państwowych z taką znajomością rzeczy, jak to u nader małej liczby kobiet się spotyka. Była ona kobietą posiadającą niezmiernie szeroką wiedzę, mającą wielką łatwość wymowy i przeświadczoną o tem, że w nowo zorganizowanym państwie powinna mieć głos wybitny. Tęskniła za sposobnością ku temu i jakkolwiek czule i szczerze przywiązaną była do ojca, uważała za czas stracony kilka miesięcy, jakie przeżyła przy nim w Szwajcaryi, gdzie Necker, skazany na wygnanie, mieszkać był zmuszony. Powróciwszy po dłuższej nieobecności do Paryża zgromadzała w swoim salonie wszystkie ówczesne znakomitości i wydatniejsze umysły i wywierała istotnie wpływ na otaczających ją mężów stanu. Józef Bonaparte, brat Napoleona, należał do oddanych jej przyjaciół.

W owym czasie, z gorączkowym zajęciem pochłaniano nieliczne dzienniki, które głosiły zwycięstwo po zwycięstwie. W wielu towarzystwach, po skończonym obiedzie, zamieniano stół na pole bitwy, lichtarze i świeczniki znaczyły wieś i miasta a gruszki, lub inne owoce, korpusy armii. Piękne panie z nateżeniem słuchały objaśnień udzielanych przez obecnych oficerów, wszyscy uniesieni byli zapalem dla nowego bohatera. Pod owem właśnie wrażeniem pisywała pani de Staël do Bonapartego pełne entuzjazmu listy, których atoli ton trochę napuszczony, patetyczny tak się Napoleonowi nie podobał, że nigdy nie dawał odpowiedzi. Działo tu po części uprzedzenie, którego do pani Staël nabrał już dawniej. W ogóle należała ona do rodzaju kobiet jakie się najmaiej Napoleonowi podobały. Niewielkiego wzrostu, krępej budowy z twarzą o dość silnych rysach, ożywioną wspaniałemi, ciemnymi oczami, była ona przeciwstawieniem powiewnego wdzięku, jaki się tak nadzwyczajnie Napoleonowi w Józefinie podobał. Co zaś do niezwykłości umysłu Napoleon z uporem nie wierzył w żadne niewieście umysły i nie znosił tak zwanych „bas bleu“.

Nadzieje pani de Staël zajęcia w życiu politycznym wybitnego stanowiska, zawczasu były chybione. Na wielkim balu wydanym przez Talleyranda w 1797 roku na cześć Bonapartego, pani de Staël zarzuciła zwycięzcę z pod Arcole potokiem wymowy, unosząc się naturalnie nad jego wielkimi czynami. Napoleon zrazu bardzo

zimno, potem z oznakami żywej niecierpliwości mowy jej wysłuchał.

Znaną jest odpowiedź, jaką podobno na owym balu pani de Staël otrzymała od niego na pytanie: którą z kobiet najwyżej ceni?—„Tę, która państwu najwięcej synów przyniosła”,—miał powiedzieć Bonaparte. Pani de Staël z lekceważeniem patrzyła zawsze na Józefinę i nie mogła darować Napoleonowi, że taki brak ducha nie był dla niego przeszkodą ku powzięciu głębszego uczucia. Nie należy jednak nigdy sądzić, aby jakieś drobne osobiste urazy, albo obrażona miłość własna, były powodem późniejszego, wrogiego zachowania się pani de Staël względem pierwszego Konsula. Jej wielka dusza patryotki, przepelniona była ideałem Republiki, takiej, o jakiej marzyli Żyromdyści, a która, jak jej się zdawało, pod rządem Dyrektoryatu uczęszczywistnioną zostanie. Tak samo jak wielu z ówczesnych patryotów, pani de Staël, rozczarowana boleśnie, odwróciła się od Napoleona w chwili, kiedy się odsłoniła jego prawdziwa natura i kiedy miejsce „pierwszego obywatela”—zajął—Imperator. Wiedział on dobrze jak dalece salon pani de Staël szerzył wrogię mu pojęcia i zawsze pochlebne pozostanie dla jej pamięci to, że Bonaparte postąpił z nią jak z prawdziwym nieprzyjacielem i skazał ją na wygnanie.

Wkrótce po swym powrocie z Włoch, Napoleon, z olbrzymią odwagą rzucił się przeciw Anglii. Z Egiptu powrócił w Sierpniu 1799 r. zdecydowany postawić wszystko na karcie i stać się panem losu państwa. Szczęście sprzyjało mu wiernie;—zamach stanu 18-go Brumaire (9 Listopada) powiódł się, Dyrektoryat został obalony a na czele nowego rządu stanął pierwszy Konsul, Napoleon Bonaparte.

W owym to czasie pomiędzy Napoleonem i Józefiną przyszło do tak poważnej rozterki, że nie wiele brakowało, iżby się nazawsze byli rozeszli. Podczas pobytu Bonapartego w Egipcie, młody, piękny oficer, imieniem Charles, który już w Medyolanie cieszył się względami Józefiny i wskutek tego został przez Napoleona do Francji odesłany,—zjawił się znowu w nabytym przez kreolkę pałacu Malmaison i był tam nadzwyczaj mile widzianym gościem.

Napoleon dowiedziawszy się o tem popadł w gniew straszny i bezzwłocznie po powrocie chciał się z żoną rozwieść. Rozwody wówczas były nader łatwe, łączono się bez dopełniania wielu formalności i rozchodzono bez przeszkód. Lży jednak Józefiny i prośby jej dzieci skruszyły srogi gniew Napoleona a więcej może aniżeli te, dokonała miłość, która się w jego sercu zbudziła na nowo dla lekkomyślnej kobiety.

Z chwilą objęcia przez Napoleona steru rządu, charakter życia towarzyskiego zmienił się z niesłychaną szybkością. Aristokraci powracali tłumnie z wygnania i odrazu zaznaczali swój wpływ na modach i obyczajach towarzyskich. Damy ukazywały się w mniej wyciętych sukniach, a formy etykiety i przyzwoitości obejmowały zwolna salony w posiadanie. Weszło w zwyczaj, że powstawano w chwili ukazania się Józefiny, ona zaś korzystała z tego aby wmówić w Napoleona że i ona z urodzenia, wychowania i koligacyj,—należała do arystokratycznych rodów. Bonaparte wszelako ludził się tem niedługo — i sam zrozumiał dobrze, iż Józefina zawdzięczała owe hołdy stanowisku żony władcy, którego podziwiano i obawiano się zarazem.

Bonaparte wysoko cenił dobre wychowanie i prawdziwą wytworność i aczkolwiek sam, przy

swjej bezwzględnej w każdym kierunku naturze, lekcewał wszelkie, przyjęte w świecie formułki, pragnął jednakże, aby na „dworze“ jego surowo przestrzegano etykiety i eleganckich form towarzyskich. Wiedział czego mu nie dostawało i chciał widzieć to w innych.

Z Reorganizacją państwa, Napoleon zreorganizował też dom własny. Niewzruszony pozostał w obec lez Józefiny i raz na zawsze zabronił jej utrzymywania dalszych stosunków przyjaźni z panią Tallien i jej podobnymi damami. Chciał u żony swjej widywać jedynie damy nie dwuznacznej opinii, damy posiadające istotne „salony“, jak: panią de Montesson, pierwszą arystokratkę, która powróciła do przyjęcia w dawnym stylu,—panią de Genlis, znaną z wdzięku i cnotliwego życia pisarkę,—panią de Rémusat, prawdziwie wytworną i wysoce wykształconą autorkę znanych pamiętników—i t. p. kobiety, zajmujące wybitne stanowiska w świecie magnackim lub naukowym.

— „Żeń się pan i otwieraj salony!“ Była to rada, często przez Napoleona powtarzana młodym oficerom i Bonaparte z prawdziwą przyjemnością wyplacał posagi wybranym przez swych adjutantów ubogim pannom z arystokratycznych rodów. Małżeństwa takie nie były łatwemi do skojarzenia, ponieważ powracające do Paryża prawdziwe arystokratki z odrazą i pogardą patrzyły na młodych synów ludu mimo marszałkowskiej buławy ukrytej w ich tornistrze. Przynać należy iż bardzo niewielu z nich, a pomiędzy tymi Junot i Lannes, byli ludźmi dobrze wychowanymi, przytem powierzchowności ujmującej i dystygowanej, po większej zaś części oficerowie Bonapartego nie grzeszyli ani pięknoscią ani dobrem wychowaniem. Pierwszy Konsul jednakże i tu umiał narzucić swoją wolę i zdarzało się często, iż nowożeńskie pary składały swą czołobitność w Malmaison, gdzie Napoleon spędzał z Józefiną letnie miesiące.

Na uroczystościach, tam wydawanych, następowało zbliżenie dwóch przeciwnych w towarzystwie obozów, młodzi generałowie opierali się kościelnemu błogosławieństwu, arystokratyczne matki koniecznie obstawały przy niem, księża znowu nie chcieli udzielać błogosławieństwa jawnym bluźniercom, lecz wszystkich w końcu godziła potęga woli Bonapartego, przeciw której nikt opierać się nie śmiał, jemu zaś chodziło o gromadzenie na swym niby dworze dumnej arystokracji.

Tak więc podczas lata, Malmaison stało się miejscem nieprzerwanych przyjęć i zabaw. W pogodne, ciepłe dni nakrywano stoły pod cienistemi drzewami i towarzystwo zabawiało się na murawie grą w piłkę. W karty w pierwszym Konsule grywano niechętnie, albowiem nie był weale skrupulatnym w grze, chętnie zaglądał w karty przeciwnika i głośno cieszył się niepowodzeniem sąsiada. W dni niedzielne stałe miały miejsce zabawy tańcujące, połączone z przedstawieniami teatralnemi. Podczas tych roznoszono najwykwintniejsze chłodniki a goście, pomiędzy którymi nie brakło obcych dyplomatów, zachwyceni byli uprzejmością Bonapartego i nieporównanym wdziękiem, z jakim zawsze jeszcze piękna Józefina czyniła honory domu.

Powierzchowność jej, ruchy, nadzwyczaj powiewny sposób chodzenia, strój, dowodzący wyrafinowanego smaku, stanowiły rażącą sprzeczność z niewielką i niezręczną postacią Napoleona, z jego głośnym chodem i strojem, który najczęściej, a nawet podczas przyjęcia, składał się z fraka, haftowanego złotem, mundurowej kamizelki i długich butów, włożonych na białe spo-

dnie. Arcy niepozorna postać Bonapartego, z twarzą wygoloną, o cerze żółtej, czarnych włosach gładko zaczesanych, wydawała się czasem nie tylko dziwną, lecz wprost śmieszna, czyżby jednak ośmielił się kto tak ją nazwać?

Napoleon nie był bynajmniej towarzyskim z natury i nieraz, ukazując się w salonie swej żony, zadawał sobie przymys. Kiedy obszedł salę dookoła, najczęściej lubił stawać przy kominku i ze zkrzyżowanemi na piersiach rękami, obserwować obecnych. Od czasu do czasu rzucał jakąś uwagę, która dowodziła niezwykłego umysłu, surowej logiki, jeśli zaś mało miłości bliźniego, to za to wiele znajomości ludzi.

Toalety Józefiny obudzały zawsze podziw i zazdrość innych kobiet. Bajeczne sumy trwoniła piękna kreolka na stroje i najczęściej bywała pogrążona w długach. Modnych naówczas indyjskich szalów z cieniuchnej tkaniny jedwabnej, z których każdy kosztował mały majątek, posiadała tuziny i miała dar najskromniejszą pozornie, mało wymagającą materyału, grecką suknię, uczynić niebywale kosztowną. Razu pewnego np. na uroczystości w Malmaison, ukazała się w sukni z białej krepy, zasianej perłami.

Józefina już wówczas uważała się niejako za panującą i Napoleon, choć tego jeszcze nie mówił głośno, myślał toż samo. Dwaj inni konsulowie musieli znosić spokojnie, że Napoleon sam jeden tylko podpisywał dekrety, a żony ich nie ubiegaly się nawet o to, by dorównać Józefinie. Przewidywano dyktaturę i zawczasu poddawano się jej. Pierwszym znakiem zamysłów Bonapartego było przeniesienie się jego z małego pałacu Luksemburskiego do Tuilleries. Lebrun przeniósł się za Napoleonem, ale mądrzejszy Cambaceres, w obawie że przeprowadzka może mu nie wyjść na dobre, kupił sobie dom, w którym przeżył Napoleonowską chwałę i jego upadek.

Wjazd do Tuilleries, które wtedy nosiły nazwę Pałacu Rządowego, nastąpił z wielką ostentacją w 1799. Tak samo, jak dawniej, przy wjeździe królów, garnizon stolicy tworzył szpalery w celu utrzymania swobodnej drogi dla pierwszego Konsula.

Ten ukazał się w powozie zaprzężonym w sześć wspaniałych siwych koni, a entuzjazm tłumu, na jego widok, wzrósł do zenitu, gdy się rozniosła wieść, że Napoleon owe konie otrzymał w darze od cesarza Austriackiego, po podpisaniu pokoju w Campo Formio.

Napoleon, króty przy każdym wyjeździe na miasto był przedmiotem owacyi ze strony tłumów, na każdej paradzie wojskowej, entuzjazmu ze strony żołnierzy, widział przed sobą drogę otwartą i pewnym krokiem szedł po niej. Jego organizatorski genjusz przewidział i zreformował odrazu cały ustrój państwowy, a cały świat bez szemrania przyjmował z jego ręki narzucony przez niego porządek. Religja państwowa, etykieta, różnica stanów, stosunki dyplomatyczne, słowem wszystko, co stanowi charakterystykę rządu monarchicznego, zostało na nowo wprowadzone. Przyjęcia w Tuilleries odbywały się według przyjętego ceremonjału i przy początku nowego wieku, Paryż miał już dwór i władę, chociaż ten nie nosił jeszcze korony.

Zofja S.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 14-ty.

Treść: Nie płaczcie, żywi..., przez Helię.—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym (dalszy ciąg).—Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Duchy, przez Arista.—Wśród mogił, przez Maryę Czesławę.—Bez duszy powieść przez Cecylję Walewską (dalszy ciąg).—Życie towarzyskie w Paryżu przed stoma laty, przez Zofję S. (dokończenie).

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 14-ty.—Przeгляд mód. 24 wzorów i robót z opise m Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Sukienka dla dziewczynki od 5—6 lat.

Rycina Nr 1. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XIII, fig. 98—102).

Ładna sukieneczka z niebieskiej w białą kratkę wełny formą „empire,” ozdobiona na dole trzema zakładeczkami, ma karczerek ażurowy, haftowany, podłożony białym atlasem i takiż stojący kołnierzyk 8 cent. szer., 43 cent. długa falbana, oszyta hafcikiem, tworzy na ramionach rodzaj epoletek. Sukieneczka zapina się z tyłu na dwa guziczki.

Sukienka z wełny w kratkę dla młodej panienki.

Rycina Nr 2.

Wełna w białe i czarne kratki bardzo jest stosowna na tę skromną sukienkę. Długa i wązka z przodu i z tyłu w ząb wycięta tiunika lekko spada na spodnią spódniczkę, oszyta wężykowato wyciętą



Nr 1. Sukienka dla dziewczynki od 5—6 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XIII, fig. 98—102).
Nr 2. Sukienka z wełnianego materiału w kraty dla młodej panienki.



Nr 3. Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 87—97).

falbaną. Staniczek z przodu luźny, z tyłu gładko dopasowany, ma kamizelkę z białego, wełnianego materiału, sięgającą do pasa, ozdobioną z przodu zakładeczkami i zapinaną na złote spineczki; wykładany kołnierzyk, oszyty hafcikiem, podwiązany czarnym krawacikiem. Wypustki z czerwonego aksamitu zdobią brzegi staniczka, na ramionach tworzą epoletki. Rękawy przy rękę zapinają się na guziki. Pasek z materiału zapina się z tyłu w ząb.

Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat.

Rycina Nr 3. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 87—97).

Praktyczna ta sukienka z czerwonego w czarne kraty wełnianego materiału, składa się z gładkiej spódniczki i skromnej bluzeczki, z fałdowaną kamizelką z ponsowej materyi. Czarny, wełniany sznureczek, naszyty w zęby, zdobi po bokach kamizelkę i na ramionach rękawy. Paseczek z tyłu zakończony rozetą i stojący kołnierzyk są z czarnej aksamitki.



Nr 5. Ubranie wizytowe z aplikacją.

Sukienka z bluzką dla dziewczynki od 8—9 lat. Łalka w poduszce.

Rycina Nr 4. (Krój odwr. strona tablicy Nr XIV, fig. 103—122).

Ładna ta i praktyczna sukieneczka jest z ciemno-niebieskiego szwiotu w prążki, z wyciętą głęboko bluzką, z epoletkami na ramionach. Pod spodem jest podciągnięta z białej satynki bluzeczka, układana w drobne zakładeczki i wstawki, przeciągane niebieską wstążeczką, z takiej samej wstążeczki są kokardy na rogach poduszki i ogarniowany jest czepeczek. Spód poduszki jest z szyrtyngu 42 cent. dług., 21 cent. szer., wypchany watą.

Ładna laleczka w koszulce i haftowanym kaftaniczku leży w białej poduszce z batystu, ozdobionego haftem. Cała poduszeczka jest oszyta falbaneczką haftowaną, wierzch w drobne zakładeczki i wstawki, przeciągane niebieską wstążeczką, z takiej samej wstążeczki są kokardy na rogach poduszki i ogarniowany jest czepeczek. Spód poduszki jest z szyrtyngu 42 cent. dług., 21 cent. szer., wypchany watą.



Nr 4. Sukienka z bluzką dla dziewczynki od 8—9 lat. Łalka w poduszce. (Krój odwrotna strona tabl. Nr XIV, fig. 103—122).

Suknia wizytowa z aplikacją.

Rycina Nr 5.

Suknia z „crêpe de chine,” jasnego koloru, na podszewce z cieniowanego atlasu, przybrana aplikacją, oszytą złotym sznurkiem. Spódniczka z trenem w połowie długości, ozdobiona aplikacją. Taką samą aplikacją pokrywa staniczek, kołnierzyk stojący i górne części rękawów. Staniczek zapina się na ramieniu, lekko udrapowane „crêpe de chine” spięte z dwóch stron ozdobnymi agratkami, bardzo ubiera śliczny ten staniczek. Talię obcisła szarfa z „crêpe de chine,” związana na boku w dwa nierówne końce, oszyte ciemną frendzlą.

Szlak na tiulu.

Rycina Nr 6 (do ryc. Nr 19 w Bl. Nr 43). Wzór pierwsza strona tablicy fig. 21 i 22.

Szlak ten może służyć, jako śliczne przybranie do wizytowych i balowych ubrań,

widzimy to na ryc. Nr 10, może też być użyta do franek etc. Tło jest z tiulu białego, kwiaty i liście haftowane jedwabną białą filozelą. Bardzo też elegancko wygląda na białym tiulu różnokolorowym jedwabiem haftowany deseń. Zmniejszony taki szlaczek używa się do chusteczek, krawatek i t. d

Szlafroczek z materiału „molton“ w deseń.

Rycina Nr 8. (Krój odwrotna str. tabl. Nr VII, fig. 58—64).

Na tle kremowym w matowe, cieniowane girlandy, tworzące pasy materiał „molton“ jest stosowny na ten szlafroczek, przepasany w stanie kolorowym sznurem z pomponami.



Nr 6. Szlak haftowany na tiulu (do ryc. Nr 19 w Bl. Nr 43).
(Wzór pierwsza strona tablicy fig. 21 i 22).

Ubranie balowe z tiulu dla młodej panienki.

Rycina Nr 11.

Dla szczupłych figurek bardzo zręcznie wygląda sukienka z białego, haftowanego tiulu, na różowej „taffetas“ podszewce. Spódniczka składa się z czterech plisowanych falban, z których trzy pierwsze od góry tworzą z przodu zęby. Staniczek bez rękawów głęboko wycięty z różowego „taffetas“ pokrywa zręcznie udrapowany tiul; pasek z czarnej aksamitki i kokardki



Nr 10. Ubranie balowe z tiulu.
(Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 10—22).

Nr 7. Płaszcz dla starszych dam.
(Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 51--54).

Balowe ubranie z tiulu z haftem.

Rycina Nr 10. (Krój pierw. strona tablicy Nr II, fig. 10—22).

Ubranie śliczne dla młodych osób, składa się ze spodu z różowego „taffetas“ i wierzchu z białego, przezroczystego, haftowanego tiulu. Spódniczka wierzchnia z tiulu, na dole wycięta w zęby, z pod których widoczna jest falbanka z drobno plisowanej „taffetas“. Głęboko wycięty staniczek bluzkowy i naramienniki są ogarniowane riuszką z gazy. Talię obciska różowa, atlasowa wstążka z długimi, spadającymi z tyłu końcami, na ramionach kokardy z takiejże wstążki. Spódniczka u góry od talii układana jest w drobnutkie zakładeczki.

w stylu „Ludwika XV,“ na ramionach z takiejże aksamitki stanowią zakończenie tego ślicznego ubrania.

Długi paltot, ozdobiony stebnowaniem i futrzanym kołnierzem.

Rycina Nr 12. (Krój odw. str. tabl. Nr I, fig. 65—70).

Bardzo pański paltocik jest z materiału „eskimos“ na lila podszewce, ozdobiony kołnierzem z futerka cieniowanego, ciemnego z białym; dolna część paltotu jest przybrana szeroko stebnowaniem w formie śpiączastych zębów, rękawy przy rękę i kieszonki też przestebnowane.



Nr 8. Szlafroczek z materiału „molton“ w deseń.
(Krój odwrotna strona tablicy Nr VIII, fig. 58—64).

Nr 9. Ranny kostym z paskiem.
(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 23—29).

Sukienka do lekcji tańców, dla dziewczynki od 11—12 lat.

Rycina Nr 16.

Miluchna jest tu z tyłu zapinana sukieneczka z białej, lekkiej wełny z kamizelką i stojącym kołnierzykiem z białej materyi, układanej w bufki. Przód staniczka ma głęboką kontrafaldę, na to zachodzi z dwóch części składający się kołnier z wypustką jedwabną, oszyty hafcikiem, na rękawach u góry parę wypustek z jedwabiu, a przy rękę wyłogi oszyte hafcikiem. Spódnica z bardzo szeroką okrągło wyciętą falbaną, z wypustką u góry. Szeroka szarfa jedwabna obciska talię i spada długimi końcami z tyłu. Sukienka ta może być także z niebieskiego szewiotu z białą, jedwabną kamizelką i wtedy będzie o wiele praktyczniejszą.

Sukienki dla dziewczynek od 14—15 i od 6—7 lat.

Rycina Nr 17 i 18.

Bardzo miłą i wdzięczną sukieneczkę dla młodej pani przedstawi ryc. Nr 17 z różowego bareżu, której spódniczka oszyta wężykowato wyciętą szeroką falbaną. Z tyłu zapięty bluzkowy staniczek, na przodzie wyszyty w ładny desen różową, wążutką wstążeczką, rękawy przy ręku w ten sam sposób wyszyte. Kamizelka, stojący kołnierzyk i małe bufki przy rękawach są z białego atlasu i naszyte 1 cent. szer. jedwabnymi pliseczkami, stebnowanymi różowym, jedwabnym kordonkiem. Pasek z różowej wstążki z kokardą na boku.

Ryc. Nr 18 przedstawia ładną, z tyłu zapinaną sukieneczkę z białej w ponsowe kraty lekkiej wełny, ma kamizelkę w szpic wyciętą z ponsowej materyi, układaną w bufeczki. Staniczek bluzkowy u góry przy kamizelce, stojący kołnierzyk, pasek i wyłogi przy rękawkach, ozdobione są pasmanterią kremową. Spódniczka na alpakowej, białej podszewce, oszyta jest szeroką, z przodu węższą, ku tyłowi rozszerzającą się falbaną.

Wachlarz z hiszpańskim haftem.

Rycina Nr 21. (Wzór pierw str. tabl. fig. 53 i 56).

Elegancki i bogaty wachlarz przedstawia nasza rycina, składa się z puleczek ze słoniowej



Nr 11. Ubranie balowe z tiulu, dla młodych pańienek.



Nr 12. Długi paltoecik z futrzanym kołnierzem.

(Kr. odw. str. tab. Nr IX, fig. 65—70).

Nr 13. Krótki paltoecik dla dam w średnim wieku.

(Krój pierwsza strona tablicy).

Nr 14. Krótki paltoecik.

(Krój pierwsza strona tablicy

Nr VI, fig. 46—50).

(Krój pierwsza strona tablicy).

kości, świecącego metalu, perłowej masy i złotych perełek, na białym, jedwabnym rypsie wykonany jest haft w rozmaite desenie kwiatów i arabesk. Część haftu wykonana jest na tiulu zrzecznie i niewidocznie przymocowanym do rypsu. Haftuje się białą i różową, jedwabną filozelą i złotą nitką.

Ramka do fotografii z haftowanymi kwiatami maku.

Rycina Nr 22. (Wzór pierw. strona tablicy fig. 57).

Ramka do fotografii składa się z kartonu 28 cent. wysokiego, 21 cent. szer., z wycięciem 13½



Nr 16. Sukienka do lekcyi tańców dla dziewczynek od 11—12 lat.

Nr 17. Sukienka do lekcyi tańców dla młodej pani od 14—15 lat.

Nr 18. Sukienka do lekcyi tańców dla dziewczynki od 6—7 lat.

cent. wys., 9½ cent. szerok., na zewnętrznej stronie oklejona jest złoto-zółtym jedwabnym „moiré,” na którym po obu stronach wycięcia wyhaftowane są kwiaty maków z pączkami. Kwiaty są wykonane różowo-lila jedwabną filozelą, pączki, gałązki i listki — brązowo-zieloną. Spodnia strona ramki jest oklejona blado-lila morowym papierem.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

ZUPA KRÓLEWSKA.

Wygotować mocny rosół z odpadków mięsa wołowego, dokładając do niego i inne mięso np. dróbka z kaczek lub kurcząt, wsypać pół funta makaronu drobnego i zagotować niedługo. Gdy makaron zmięknie odstawić, ubić razem tyle żółtek i tyle łyżek śmietany, ile jest osób, wlać w wagę i mieszać, zalewając rosółem; kto lubi kwaśno, może jeszcze dodać soku cytrynowego.

ŻEBERKA BARANIE W JARZYNOWEJ POTRAWIE.

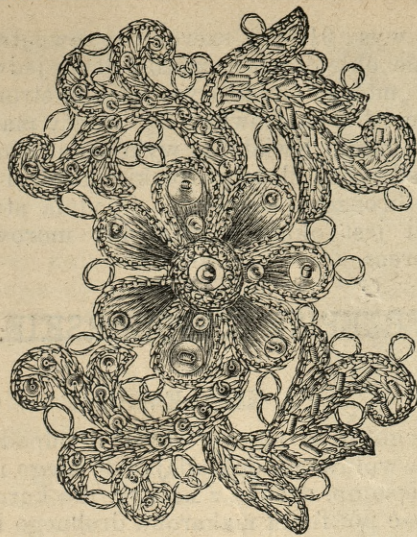
Pokrajać żeberka baranie na takie kawałki, jak mają być podane na półmisek, włożyć w rondel i zasmażyć z kawałkiem ma-



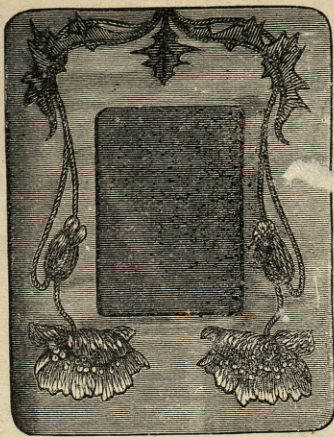
Nr 15. Elegancki płaszcz wieczorowy.

(Krój odw. str. tabl. Nr X, fig. 71—76).

ślą. Gdy zbieleją i stwardną, nalać trochę wody, tyle, aby je okryła, osolic i opieprzyć, włożyć pieczarki, marchew i cebulę, przykryć i niech się dusi na wolnym ogniu przez 3 godziny. W osobnym garnku ułożyć kalarepę, powykrawaną w małe gałki i ćwierć funta słoniny świeżej, osolic, włożyć spory kawałek cukru i niech się przez dwie godziny gotuje, dopóki kalarepa nie będzie miękka; zapalić trochę masła z mąką, zmieszać ze sosem z kalarepy, którego nie powinno być dużo i zmieszać z sosem z mięsa, wyjawszy w pierw marchew i cebulę, podaje się na półmisek razem z kalarepą.



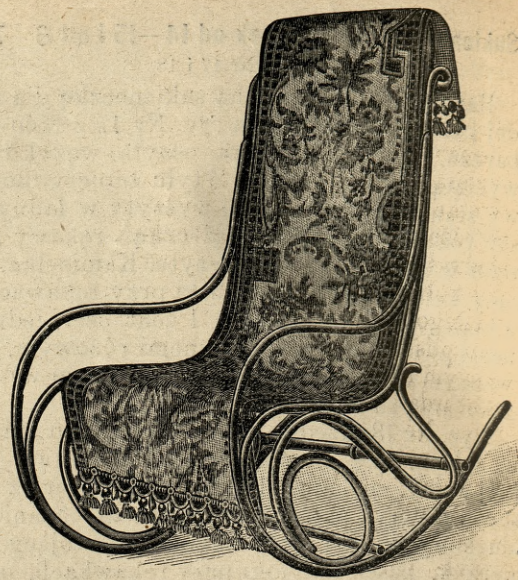
Nr 23. Część haftu do wachlarza ryc. Nr 21. Wielkość oryginalna.



Nr 22. Ramka do fotografii z haftowanymi kwiatami maków. (Wzór pierw. str. tabl fig. 57).



Nr 25. Część wysycia na tiulu do wachlarza ryc. Nr 21. Wielkość oryginalna.



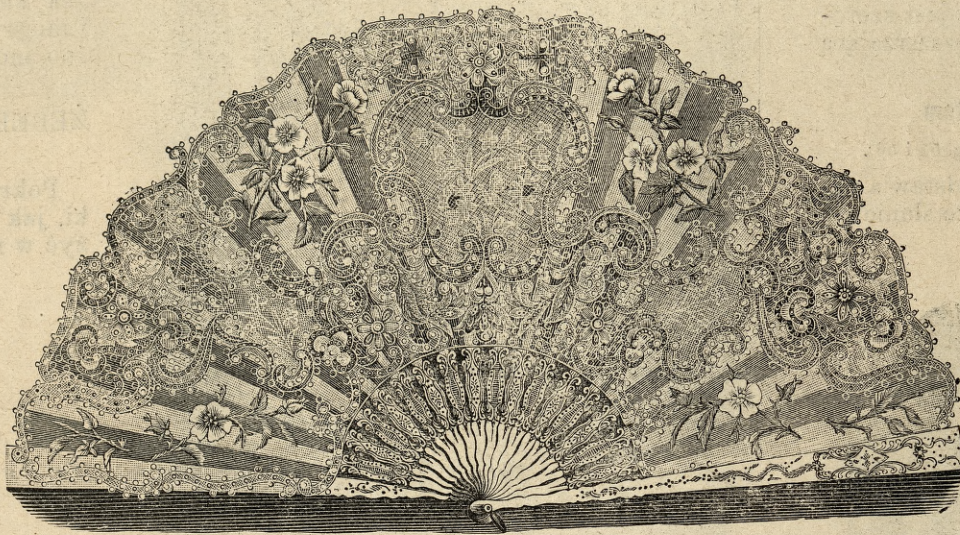
Nr 24. Fotel bujany (do ryc. Nr 26).

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z jarzynami.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Potrawa z drobiu.
4. Budyń z kapusty.
5. Zając z sałatą zieloną z buraczkami.
6. Krem ponczowy.



Nr 19. Monogram L. F. z winietką.



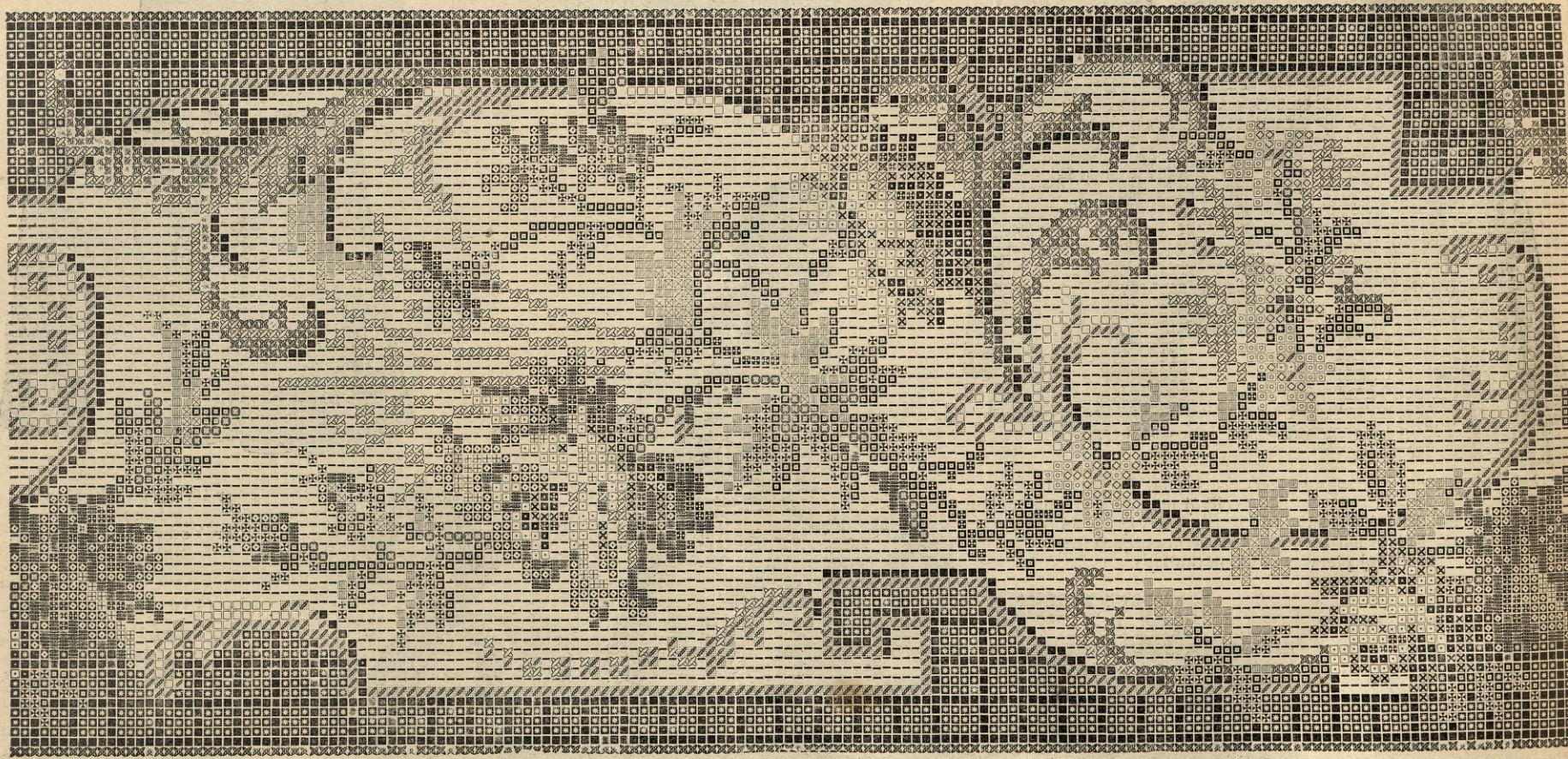
Nr 21. Wachlarz z hiszpańskim haftem (do ryc. Nr 23 i 25). Wzór pierwsza strona tablicy fig. 55 i 56.



Nr 20. Monogram A. K. z winietką.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”



Nr 26. Wzór wysycia krzyżową robotą do fotelu bujanego ryc. Nr 24.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.
Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.